

Dr. Dariusz RATAJCZAK

TEMATY NIEBEZPIECZNE

Wstęp

JUDAICA 3
*ZYDZI WOBEC ANTY POLONIZMU ZYDOW **
*KAROL MARKS-REWOLUCYJNOSC ZYDOW; LEWICOWY ANTYSEMITYZM **
*ZYDZI- TALMUD- GOJE **
TAJEMNICA POCHODZENIA ADOLFA HITLERA
*NARODOWE SILY ZBROJNE A ZYDZI **
*REWIZJONIZM HOLOCAUSTU **
*CZY IZRAEL JEST PANSTWEM DEMOKRATYCZNYM? **
MASONICA 18
MASONERIA I SPISKOWA TEORIA DZIEJOW 19
MASONERIA- RYTY- OBRZEDY
*VARIA **
*CI OKROPNI ENDECY **
*SLASKI HEIMAT **
*PRZYPADKI MARSZALKA ZYMIERSKIEGO **
*MALA WOJNA **
JAS NIE DOCZEKAL- DOWODCE ZWM TRAFIONO SMIERTELNIE PO DWUGODZINNYCH
DELIBERACJACH

*ALKAZAR 1936 (z dziej?w hiszpańskiej wojny domowej) **
*ZWARCI- SZYBCY- GOTOWI- BIS **
*EUROPEJCZYK **
*WIELKIE PICIE **
*WERWOLF: MIEDZY MITEM A HISTORYCZNA PRAWDA **
*RACJONALIZATORZY Z SUCHEGO BORU**
*WSPOLNE KORZENIE **
*PINOCHET- FASZYSTA CZY ZBAWCA **
*WOKOL AKCJI LEGALIZACYJNEJ NARODOWYCH SIL ZBROJNYCH NA EMIGRACJI **

*KONIEC SWIATA AFRYKANEROW? **
*KONFLIKT W IRLANDII POLNOCNEJ **
TRYUMF DYLETANTA 57
GEIBEL I KALKSTEIN 58
ANTYKOMUNIZM A WSPOLCZESNOSC 59
POLITYCZNA POPRAWNOSC 60
POLECATS 62*
KILKANASCIE WSKAZOWEK DLA MLODEGO HISTORYKA- NAUKOWCA 63

Zonie poswiecam

Oto książka dr. Ratajczaka, która narobiła tyle hałasu w polskich mediach na początku kwietnia 1999 roku. Autor został usunięty z pracy oraz zaskarżony do sądu. apewne w ramach walki o wolność słowa i tolerancję.

Wstęp

Zawartość niniejszej książeczki stanowi zbiór artykułów publikowanych przeze mnie głównie na łamach prasy regionalnej oraz syntetyczne wyciągi z niektórych wykładów, jakie miałem przyjemność wygłaszać w Instytucie Historii Uniwersytetu Opolskiego w roku akademickim 1997/1998. Większość koncentruje się na XX-wiecznej historii Polski, ale nie brakuje również tematów europejskich, pozaeuropejskich, a nawet takich, które ocierają się o czystą politykę, sferę moralno-obyczajową itd.

Należy do ludzi, którzy węzłowe problemy przeszłości i te teraźniejsze widzą zasadniczo w barwach białoczarnych. Tak to tak. Nie to nie. Wszelkie odcienie szarości, sformułowania typu: „tak, ale”, „**kazdy medal ma dwie strony**”, intuicyjnie budzą we mnie nieufność. Pachną relatywizmem- ulubionym „duchowym hobby” inteligentów.

Stąd- mam tego świadomość- mnóstwo tu ocen ostrych, prowokacyjnych, mogących wywołać środowiskowe protesty. Wszystko zależy od mocnych nerwów i „poczucia humoru”. Ja w każdym razie wszelką odpowiedzialność za czyjsz zły humor lub zwyczaj omijania mnie szerokim łukiem biorę tylko na siebie. Przy najmniej będę miał tą rzadką okazję bycia prawdziwym mężczyzną.

Zbiór podzieliłem na trzy części. Pierwsza „JUDAICA” koncentruje się na szeroko pojętej tematyce żydowskiej, w tym stosunkach polsko-żydowskich. Myślę, że mam tutaj do zakomunikowania naszym starszym braciom kilka gorzkich prawd. Jestem realista: nie liczę na pełną zrozumienia reakcję. Raczej spodziewam się pomówień o antysemityzm. O to zawsze najłatwiej.

Rozdział drugi „mikroskopijnie” objętościowo MASONICA - to moje spojrzenie na istotę działalności „fartuszkowej konspiracji”. Jeżeli powiem, że nieprzychylnie- skłamię. Wrogowie! Wreszcie VARIA: poważne, mniej poważne, czasem frywolne. Do wyboru, do koloru.

I jeszcze dwie uwagi.

Świadomie zrezygnowałem z wszelkich odsyłaczy, przypisów, bibliografii. Raz, że popularny i publicystyczny charakter pracy czyni je zbędnymi. Dwa, niż każdy student historii, głównie, mam nadzieję, odbiorca tych przemyśleń zawsze może liczyć na moją pomoc w tym względzie. Albo koleżanek i kolegów, którzy wcześniej zaszczycaли mnie swą obecnością na wykładach i ćwiczeniach. Poszczególne tematy, nieoznaczone na końcu „znakiem prasowym”, są synteza, częścią lub cząsteczką niepublikowanych dotychczas wykładów autora.

Dariusz Ratajczak

Opole, październik 1998 JUDAICA

ZYDZI WOBEC ANTYPOLONIZMU ŻYDÓW

Pisanie o stosunkach polsko-żydowskich jest czynnością ryzykowną. Szczególnie dla Polaka, który uważa, że stosunki te powinny być przedstawiane w oparciu o prawdę. Latwo wtedy- paradoksalnie- narazić się na zarzuty o skrajny nacjonalizm, ksenofobie i „dyzurny” antysemityzm. Konsekwencje są zazwyczaj smutne: towarzyski bojkot (każdy ma takich znajomych na jakich zasługuje), prasowy i wydawniczy „knebel”, ostatecznie- zawodowa śmierć.

Sprawa przedstawia się inaczej, gdy wzorem warszawsko-krakowskiej elitki moralnej, złożonej z pisarzy-klamców i całego tabunu artystów, "naukowców" i dziennikarzy- uznamy za pewnik następujące bajdurzenia: Polacy to pijana, katolicka holota współodpowiedzialna za holocaust (proporcje- 50% winy Polaków, 50 lub mniej nazistów- bron Boże wszystkich Niemców; w końcu mieli szlachetnego Schindlera); oddziały Armii Krajowej w przerwach pozorowanych walk z Niemcami zabawiały się strzelaniem do bezbronnych Żydów, szczególnie podczas anty sowieckiej manifestacji politycznej, jaka było Powstanie Warszawskie; polscy chłopci-bez zębne jęłopy- masowo wydawali okupantowi ukrywających się Żydów, a następnie radosnie kopulowali z kozami („Malowany ptak” J.Kosińskiego); obozy koncentracyjne zbudowano na ziemiach polskich, gdyż takiej właśnie lokalizacji sprzyjał zoologiczny antysemityzm prymitywnych tubylców; nie można mówić o współodpowiedzialności Żydów za zbrodnie na Polakach w latach 1944-1956, ponieważ panowie: Berman, Zambrowski, Fejgin, Rozanski nie reprezentowali społeczności żydowskiej i przede wszystkim byli internacjonalistami (zasmakowany zaś szmalcownik z jakiejś zapadłej dziury był oczywiście typowym Polakiem doby okupacji).

Ten antypolski, wewnątrz krajowy trend, przyrównujący nas do bydła w ludzkiej skorze, uważający za głupawych, słowiańskich untermenschen, jest tylko uzupełnieniem wściekłych ataków kierowanych pod adresem Polaków ze strony wpływowych kół żydowskich Starego i Nowego Świata. Ciekawskich i znających język angielski odsyłam na łamy opiniotwórczej prasy amerykańsko-kanadyjskiej („New York Times”, „International Herald Tribune” „Washington Post” „Toronto Star”), do książek autorstwa np. R.Shoenfelda („Ofiary holokaustu oskarżają”), M.Elkinsa („Forget in fury”), Biermana („The penalty of Innocence”), do kin (przyglądajcie się - a dobrze!- „Liscie Schindlera” - filmowi tyleż słynnemu, co nieuczciwemu w stosunku do Polaków), przed ekrany telewizorów (może jeszcze pokaza skaczących z radości Polaków przyglądających się eksterminacji Żydów w dokumentalnych „Shoah” Claude Lanzmanna. Jeśli będzie wam za mało- doprawcie się „Shtetl” Marzyskiego). Dla miłośników zaś pozostawiam na deser komiks (nagrodzony „Pulitzerem”) „Myszy”, w którym tytułowe gryzonie to Żydzi, koty (zwierzęta czyste i diaboliczne)- Niemcy, natomiast role Polaków- obozowych kapo- grają tarzające się w gnoju świni.

I możemy sobie bez końca powtarzać, że była Żegota”, że za pomoc Żydom w okupowanej Polsce groziła śmierć (w przeciwieństwie np. do naprawdę szmatławej i zhanbionej kolaboracji Francji), że tysiące rodzin polskich uległo eksterminacji właśnie za pomoc udzieloną Żydom, że podziemne państwo polskie bezlitośnie tepilo przypadki szmalownictwa, że wreszcie polski rząd uchodźczy zrobił wszystko co w jego mocy, aby uczulić opinię międzynarodową - w tym uparcie milczących Żydów amerykańskich - na tragedię rozgrywającą się w gettach i obozach koncentracyjnych. Te oczywiste prawdy nie trafiają do całego roju paszkwilantów, polakozerców, pseudonaukowców i niedouczonej literatury.

Na szczęście są jednak ludzie, polscy patrioci żydowskiego pochodzenia i Żydzi - świadkowie historii, którzy powodowali zwykłą uczciwością- starają się bronić Polaków i Polski w tym morzu pomówień, przeinaczeń i zwykłego chamstwa. Bronią przed atakami innych Żydów i niektórych, zazwyczaj znanych z pierwszych stron gazet, Polaków. Nie są oni wprawdzie - z istotnymi wyjątkami, szerzej znani w Polsce i na świecie, niemniej jednak przez swą „drażniącą obecność” potwierdzają tezę, iż nie ma zaciętrzewionych w nienawiści narodów - są tylko mądry i głupi ludzie. Przypomnijmy lub wybiórczo przedstawmy ich sylwetki.

Zacznijmy od profesora Izraela Szahaka, Żyda uważanego przez Żydów za antysemitę (niedawno ukazała się w przekładzie polskim jego książka „Żydowskie dzieje i religia”).

Szahak jest konsekwentnym obrońcą Polski i Polaków. Uważa, że Rzeczpospolita przez wieki stanowiła dla Żydów bezpieczne przytulisko, w którym cieszyli się dużymi swobodami. Uczony ten twierdzi, że obecny Izrael jest państwem nacjonalistycznym i nietolerancyjnym, a cechy te, jego zdaniem, wynikają z żydowskiej historii znaczonej przez wieki zamkniętym, fanatycznym, wręcz totalitarnym światem utonionym w gminie. Szahak stawia ponadto rewolucyjną tezę: antysemityzm tradycyjny / bez zabarwienia rasowego / to dziecko pierwotnego, głęboko nienawistnego stosunku Żydów do świata nieżydowskiego (gólus).

Wielkim przyjacielem Polaków był zmarły 10 lat temu Józef Lichten. Ten dzielny człowiek nie tylko głośno protestował przeciwko antypolskiej wymowie scenariusza filmu „Holocaust” (w którym polscy żołnierze, kompletnie umundurowani, wspólnie z „kolegami” z SS mordują Żydów w getcie), ale jednoznacznie bronił siostr karmelitanek w Oświęcimiu. Niestety w Polsce nie jest znany. Miał nieszczęście być antykomunistą.

Wyraźnie sprzyjał Polakom profesor Izaak Lewin, który otarł się o Pokojową Nagrodę Nobla. Nigdy nie godził się z twierdzeniami (obecnymi w prasie amerykańskiej), że to Polacy wybudowali obozy koncentracyjne („polskie obozy”). Podkreślał również, że słynna polska tolerancja obejmowała także Żydów.

Kto w Polsce zna rabina Salomona Rapaporta - wielkiego obrońcę Polaków, albo Barnetta Litvinoffa, który w swym dziele: „Antysemityzm i historia świata” napisał wprost: „Polska (w wiekach średnich i później) ocaliła żydostwo przed wytepieniem”.

Wspomnijmy jeszcze o profesorze Aleksandrze Schenkerze (językoznawcy z USA), który odrzuca tezę o odpowiedzialności Polaków za tragedię warszawskiego getta (w tym miejscu „ukłony” dla prof. Błonskiego i jego balamutnych, ahistorycznych wypocin o „biednych Polakach patrzących na Getto”); Klarze Mirskiej (w książce „W cieniu wielkiego strachu” stwierdziła, że Polacy, jak żaden inny naród, w czasie okupacji wydali „tyłu ludzi bez skazy, tyłu aniołów, którzy „tak ratowali obcych”); Oswaldzie Rufeisenie i tych Żydach lub Polakach żydowskiego pochodzenia, którzy żyjąc tu i teraz, odpowiadają się za prawdziwym dialogiem polsko-żydowskim.

Czy ich głos zostanie wreszcie zauważony, rozpatrzony i poddany rzetelnej analizie na łamach polskiej i światowej prasy? Coz, „prawdy uswiecone” wbite w niedouczone, pełne złej woli głowy prawie nie poddają się rewizji. Signum temporis. Jestem więc pesymista.

KAROL MARKS-REWOLUCYJNOŚĆ ŻYDÓW „LEWICOWY ANTYSEMITYZM”

Karol Marks urodził się w roku 1818 w Trewirze. Był synem Hirschela ha-lewi Marxa, czyli Henryka Marxa, świeżego, protestanckiego przechrzty.

Co było typowe dla Marksa i dla elity żydowskiej XIX wieku, która z tradycyjnym żydostwem zerwała, by związać się z ruchami lewicowymi? Tworzyli oni typ uczonych proveniencji talmudycznej (chodzi o formę - nie treść), mieli tendencje do gromadzenia olbrzymiej masy na wpol przyswojonego materiału i skłonność do planowania prac

encyklopedycznych nigdy nie ukończonych. Wykazywali lekceważenie dla wszystkich, którzy nie są uczonymi. Uczuciem tym, pomieszanym z pogardą, dążyli również mających własne zdanie badaczy. W ich dziełach komentarz i krytyka dzieł innych przeważały nad twórczymi rozwiązaniami.

Byli oczywiście przeciwnikami żydostwa, nie tylko w sferze duchowej, ale i społeczno-klasowo-ekonomicznej. Nie inaczej Marks. W polemice z Bruno Bauerem przekonywał: „Przypatrzmy się rzeczywistemu świeckiemu Żydowi”. Nie szukamy tajemnicy Żyda w jego religii (a do tego skłaniał się Bauer-DR). Jaki jest świecka postawa żydostwa? Praktyczna potrzeba, własna korzyść. Jaka jest świecki kult Żyda? Handel. Jaki jest świecki Bóg? Pieniądz”.

W słowach tych pobrzmiewają nowe, złowieszcze nuty. Rodzi się nowoczesny antysemityzm, widzący w Żydach nie przeciwników chrześcijaństwa, równie znienawidzonego przez Marksa, a społecznych szkodników, pasożytów, a więc ludzi zbędnych. Watki te, nie rozwiane później przez Marksa (w jego koncepcji społeczno-ekonomicznej Żydów-krwio pijców zastąpi międzynarodowa burżuazja) podejmie niemiecki nazizm w duchu rasistowskim.

Chociaż, gdyby uważnie przyjrzeć się niektórym antysemickim uwagom Marksa w latach późniejszych, widać w nich już ten obledny, nienawistny ton właściwy Hitlerowi w „Mein Kampf”, a powielany później przez prymitywnego „Szturmowca” (Der Stürmer) Juliusza Streichera.

Zacytujmy dla ilustracji fragmenty listów 43-letniego Marksa do Engelsa: „A propos Lassalle (Ferdinand Lassalle, organizator ruchu robotniczego w Niemczech, reformista, zginął w pojedynku, pochowany we Wrocławiu. Był Żydem z pochodzenia-DR)” wyjście Żydów z Egiptu to nic innego jak historia wyrzucenia narodów tędowatych”. W kolejnym, o rok późniejszym liście (lipiec 1862) Marks uważa, że Lassalle „pochodzi od Murzynów”, którzy przyłączyli się do ucieczki Mojżesza z Egiptu. Wskazuje na to „kształt jego głowy”. „Chyba, że jego matka czy babka skojarzyła się z czarnuchem”- dodaje domorosły antropolog.

Było zapewne kilka przyczyn rewolucyjności Żydów w XIX-wiecznej Europie. Istniała biblijna tradycja społecznego krytycyzmu; przeludnione dzielnice przemysłowych miast wzmacniały ich świecki radykalizm, uwolniony do tego z pod władzy totalitarnej gminy, tej wylegarni fanatyzmu i wszelkiej ciemnoty (inna rzecz, że to wyzwolenie przyszło z zewnątrz, od gojów); reżim carski pod koniec wieku XIX czyni z antysemityzmu jeden z filarów ideologii państwowej (nie dziwi więc masowy udział Żydów w obu rosyjskich rewolucjach i to na stanowiskach kierowniczych).

Na koniec, w trosce o własne bezpieczeństwo (posadzenia o szerzenie antysemityzmu padają w naszym kraju szybko i gęsto), przytoczę opinie żydowskiego (dokładnie syjonistycznego) pisma „Rozwiew”, wychodzącego w języku rosyjskim w Berlinie (nr 49, 1923), które w taki oto sposób przedstawia żydowski ciąg ku rewolucji, a przy okazji charakteryzuje pozornie zasymilowanego Żyda- obrazoburcę i niszczyiciela: „W samym końcu zeszłego stulecia (wieku XIX-DR) w Niemczech dała się już stwierdzić kategoria Żydów, będących pośrednimi typami między starym żydostwem, a nową cywilizacją europejską.

Nowe to środowisko żydowskie nie jest zdolne do rozplynięcia się w ogólnym otoczeniu. To nie są ani Żydzi, ani Europejczycy. Ta kategoria ludzi jakby stworzona jest do tego, aby być przednią placówką dla wszelkich eksperymentów i doświadczeń.

Ze starego żydostwa ta kategoria typów zachowała brak poczucia rzeczywistości. Dla Żyda wszystko jest oderwana formułka, a stąd płynie jego całkowita pewność co do słuszności jego stanowiska, pochodzi jego brak zwątpień i wszelkich wahań, brak poszukiwań, zazwyczaj właściwych ludziom, pracującym nad życiem, czerpiącym z jego różnorodnych przejawów swoje twórcze dążenia.

Lecz poza tym u Żydów, którzy znaleźli się w tym nowym życiu, jest jeszcze jedna właściwość: są pozbawieni tradycji, w odróżnieniu od otoczenia, które nie jest zdolne do uwolnienia się od niej. Kiedy Żyd tępi szlachtę lub burżuazję, nie żałuje tego pięknego życia i wyższej kultury, których wyrazicielami były te warstwy. W Żydzie pozostała z przeszłości jedynie nienawiść do istniejącego stanu rzeczy, który zawsze był dla niego wstępnym.

Wszystko to razem wzięte czyni z Żydów typ wybitnie rewolucyjny, ściśle mówiąc, typ raczej okresu niszczenia, niż twórczości, ponieważ twórczość nie może odbywać się szablonowo i na podstawie wypracowanych formułek.

We wszystkich rewolucjach, poczynając od zeszłego stulecia, a kończąc na obecnej rosyjskiej, ten typ żydowski bierze udział, odgrywa w nich dużą rolę, stanowi częstokroć duszę tego ruchu, w zależności od odporności i rozwoju mas, wśród których działa. Do tej kategorii typów należał również Karol Marks.

Do pomocy dobrał sobie Marks Żydów, albo specjalnie nadających się nieżydów, jak Engelsa. W doborze inteligentów był oczywiście niezmiernie ostrożny. (...).

ZYDZI - TALMUD- GOJE

Organiczna niechęć Żydów do świata nieżydowskiego, a głównie chrześcijańskiego wynika przede wszystkim z tradycyjnych praw judaizmu. Jest ona nawet wcześniejsza od aktywnego antyjudajizmu chrześcijan, bo właśnie ten termin obrazuje przez wiele wieków stosunek chrześcijan do Żydów. Miał on charakter ideologiczno- światopoglądowy, nie stronił od dysputy ze strony przeciwną, mógł także stać u podstaw postaw pogromowych. Choć te ostatnie nierzadko miały podłoże klasowe, uważając za ciemziejcyła nie tylko pana feudalnego, ale i jego pomocnika (który miał nieszczęście być na miejscu w czasie dziejowej zawieruchy)- Żyda.

Należy tu przy okazji rozwiązać jeden mit: w historii feudalnej Europy to nie Żydzi byli najbardziej prześladowani, wyzyskiwani i postępowani grupa ludzka. Prawdziwym „chłopem do bicia” był chłop pańszczyzniany- na terenach środkowo- wschodniej części kontynentu aż do I połowy ubiegłego stulecia.

Przedstawiając stosunek Żydów do gojów (relacja odwrotna, bardziej znana, chociaż nierzadko zakłamaną, nie jest przedmiotem naszych rozważań), należałoby kilka słów poświęcić Talmudowi, czyli jednemu z kamieni węgielnych judaizmu.

Jesli przyjmiemy, ze Zydzi sa naszymi starszymi starotestamentowymi braci (co obecnie wiele kregow koscielnych uznaje bez zastrzezen), to Talmud skutecznie rozrywa wszelkie braterskie wiezi.

Talmud tworza Miszna i Gemara. Jest to, najogolniej mowiac, zbior tradycyjnych praw judaizmu, zawierajacych komentarze rabinow. W Talmudzie nazywaja owi rabini chrzescijan balwochwalcami, mezobojcami, rozpustnikami nieczystymi, gnojem, zwierzetami w ludzkiej postaci, gorszymi od zwierzat, synami diabla itd. Ksiezy nazywaja „kamarim”, tj. wrozbierzami, kosciol zwa „bejs tifla”, czyli dom glupstw, paskudztwa.

Obrazki, medaliki, rozance zowia „elylym” (balwany), niedziele i swieta to „jom ejd” (dni zatracenia). Ucza tez, ze Zydowi wolno oszukiwac, okrasc chrzescijanina, bo „wszystkie majetnosci gojow sa jako pustynia, kto je pierwszy zajmie, ten jest ich panem”.

Tak wiec ksiege zawierajaca 12 grubych tomow i dyszaca nienawiscia do chrzescijan Zydzi uwazaja za wazniejsza od Pisma Swietego i stanowi ona dla nich do dnia dzisiejszego przypomnienie wlasciwego postepowania w stosunku do gojow. Bez Talmudu, tego krancowego przykladu nietolerancji i swoistego ekskluzywizmu (ma on i swoje odbicie w sprawach czysto swieckich, nawet w srodowiskach dalekich od ortodoksji) Zyd przestaje byc Zydem.

Byc moze obiektem najzacieklejszych atakow w Talmudzie i literaturze posttalmudycznej jest osoba

„falszywego Mesjasza” - Jezusa. Zgodnie z tym, co podaje Talmud Jezus zostal stracony za balwochwalstwo, za namawianie Zydow do balwochwalstwa i lekcewazenie wladz rabinicznych z wyroku sadu rabinackiego. Absolutnie nie jestem sklonny przypisywac wszystkim Zydom winy za smierc Chrystusa, alisci klasyczne zrodla zydowskie wspominajac jego stracenie, z satysfakcja biorac na siebie odpowiedzialnosc za ta smierc, a nie wspominaja nawet o Rzymianach.

Samo imie Jezus (Jeszu) jest dla Zydow symbolem tego co ohydne, wstretne. Hebrajska forma imienia Jezus interpretowana byla jako akronim przeklenstwa: „niech imie jego i pamiec o nim zostana wymazane”.

Mysle, ze dialog chrzescijansko - zydowski powinien byc oparty na prawdzie. Kosciol katolicki zrobil bardzo wiele by te prawde przyblizyc: nazwal Zydow „starszymi braci”, potepil antysemityzm, wzial na siebie wiele win, nawet tych nie popelnionych. Strona zydowska przyjela postawe agresywna. Zada coraz wiecej, a jednoczesnie nie chce uznac, ze w dlugiej historii stosunkow chrzescijansko - zydowskich popelnila liczne bledy.

Ich naprawa lezy moim zdaniem poza mentalno- ideologiczno- religijnymi mozliwosciami Zydow, tego zdolnego i ciekawego narodu, naznaczonego wszelako grzechem pychy i arogancji. Wierzyc jednak nalezy.

TAJEMNICA POCHODZENIA ADOLFA HITLERA

Biografowie Adolfa Hitlera podaja ze przyszly Fuehrer III Rzeszy urodzil sie 20 kwietnia 1889 roku w Braunau am Inn, nieduzej miejscowosci na granicy austriacko- niemieckiej. Jego ojcem byl 52-letni urzednik celny Alois Schicklgruber, ktory wczesniej przybral nazwisko Hitler. Matka, Klara Poelzl, wywodziła sie z chlopskiej rodziny.

Na tym etapie sprawa jest jasna i bezdyskusyjna: Alois i Klara byli naturalnymi rodzicami Adolfa.

Watpliwosci budzi natomiast pochodzenie ojca Hitlera. Co ciekawe, nawet tacy znawcy przedmiotu jak Alan Bullock sa w tej materii nad wyraz wstrzemiezliwi i powstrzymuja sie przed ostatecznymi sadami. My postaramy sie pojsc tropem pewnej, bardzo prawdopodobnej i majacej zwolennikow hipotezy.

Otoz babka Adolfa, Maria Anna Schicklgruber, powila Aloisa 7 czerwca 1837 roku. Podejrzewano, ze dziecko bylo owocem niepowaznego uczucia syna zamoznego Zyda Frankerbergera (wiedenskiego barona, czlonka rodziny Otterstein) do skromnej sluzacej.

Za ta hipoteza przemawiaja moim zdaniem trzy bezsporne fakty. Po pierwsze Maria Anna dopiero 5 lat po urodzeniu Aloisa poslubila mlynarza - Johana Georga Hiedlera (o przydomku Hitler). Dopiero po jego smierci do miejscowosci Spital udal sie jeden z wujow Hitlera, Johann Nepomuk Huettler (podobno nie pozbawiony „szczypty” krwi czeskiej), i w obecności dwóch swiadkow uzyskal od notariusza poswiadczenie ojcostwa, uznajace Aloisa (już teraz Hitlera, a nie Schicklgrubera) za syna naturalnego zmarłego mlynarza. A przeciez nieboszczyk za życia miał wystarczajaco duzo czasu, aby rzecz cala zalatwic.

Po trzecie wreszcie Frankenbergerowie jeszcze przez pewien czas po smierci Aloisa lozyli na utrzymanie nastoletniego Adolfa, przyszlego pogromcy Zydow!.

Zajmowanie sie pochodzeniem Hitlera i uznanie, ze biologicznie byl cwierc -Zydem (pamietajmy jednak, ze judaizm uznaje za Zyda osobe zrodzona z matki- Zydowki-Hitler tego kryterium nie spelnia) bylyby zajeciem dosyc jalowym - w koncu wazne jest to, kim sie dany osobnik czuje, a nie jakich ma przodkow - gdyby nie fakt, ze wielu ludzi o zydowskich korzeniach staralo sie zacierac wlasne pochodzenie lub goraco mu zaprzeczac i w konsekwencji przebierac postawe jawnie antysemicka. Zjawisko to zauwazali tradycyjni Zydzi, a okreslali je „nienawiscia do samego siebie”. Takim wlasnie czlowiekiem miał byc Hitler, a wczesniej - to już na pewno da sie udowodnic - Karol Marks, zasymilowany Zyd, ktory teorie walki klas wywiodl z pierwotnych, glęboko antysemickich fobii.

Mysle, ze w szerszym kontekście, ale caly czas w odniesieniu do realistow niemieckich, rzecz cala najcelniej ujal zydowski dziennikarz Rudolf Kommer, ktory w taki oto sposob komentowal w roku 1922, a wiec w czasie, gdy Hitler byl jeszcze prowincjonalnym krzykaczem, zabojstwo ministra spraw zagranicznych Niemiec Rathenaua: „Takze Rathenau (chcial upodobnic sie - DR) do blondynow Baldura (minister byl z pochodzenia Zydem - DR). Boze miej nas Zydow i was Niemcow w swojej opiece, jesli ktoregos dnia bezmyslne i brutalne instynkty gangsterow upozowanych na jasnowlose bestie polacza sie z zatrujajaca dusze nienawiscia Zydow do samych siebie lub ze swiatopogladowym oblakaniem mieszcancow majacych duchowe i moralne defekty”.

Jego proroctwo w duzym stopniu spelnilo sie. Gdy bowiem analizujemy pochodzenie politycznych, wojskowych i gospodarczych elit III Rzeszy, co rusz natrafiamy na osoby zydowskiego, polzydowskiego, cwierczydowskiego pochodzenia oraz takich, ktorzy przez fakt malzenstwa byli spokrewnieni z zydowskimi rodzinami. Wymienmy kilkanascie nazwisk, opierajac sie na ustaleniach niemiecko - zydowskiego wykladowcy akademickiego, Dietricha Brondera oraz wiedzy wlasnej:

1. Adolf Hitler (Fuehrer III Rzeszy)
2. Julius Streicher (gauleiter Frankonii, wydawca antysemickiego i antykatolickiego „Der Stuermer”. Dodam, że pismo to dziwnie przypomina mi chodzi o ataki antykoscielne i pornografie - Tygodnik „Nie” Jerzego Urbana)
3. Joseph Goebbels (glówny propagandysta III Rzeszy, miał pochodzić z hiszpańsko-holenderskich Żydów, w szkole koledzy wolali na niego „Rabbi”)
4. Hans Frank (generalny gubernator w okupowanej Polsce, syn żydowskiego adwokata - hochsztaplera z Bambergu).
5. Reinhard Heydrich (szef Głównego Urzędu Bezpieczeństwa Rzeszy, pol-Żyd, który wg Himmlera „Żyda w sobie zdusił”)
6. Adolf Eichmann (realizator „ostatecznego rozwiązania”, urodził się w Palestynie, w późniejszym czasie stosowane papiery sfalszowano, podając za miejsce urodzenia Solingen)
7. Alfred Rosenberg (szef Urzędu do Spraw Zagranicznych NSDAP, nazistowski filozof. Bałtycki Niemiec z domieszką krwi żydowskiej)
8. Odilo Globocnik (dowódca „Akcji Reinhard” - zagłady polskich Żydów)
9. Wilhelm Kube (gauleiter i gubernator Białorusi, rodem z Głogowa)
10. Ernst „Putzi” Hanffstaengel (szef wydziału prasy zagranicznej w NSDAP, pol-Żyd po matce, z domu Heine)
11. Erhard Milch (feldmarszałek i szef uzbrojenia Luftwaffe, jego matka była Żydówką)
12. Max Naumann (Żyd, zwolennik nazistowskiej rewolucji nacjonalistycznej, szef Związku Żydów Narodowoniemieckich, przeciwnik „Ostjuden”, których atakował z pozycji antysemickich. Autor m.in. „Sozialimus, Nationalsozialismus und nationaldeutsches Judentum”).

NARODOWE SILY ZBROJNE A ŻYDZI

Przedwojenny Oboz Narodowo- Radykalny był organizacją programowo niechętnie nastawioną do Żydów. Już w „Deklaracji Obozu Narodowego- Radykalnego”, opublikowanej w dodatku nadzwyczajnym „Sztafety” (Warszawa, 15 kwietnia 1934r., nr 13/19) czytamy między innymi: „Żyd nie może być obywatelem Państwa Polskiego i - poki jeszcze ziemia polska zamieszkuje - powinien być traktowany jedynie, jako przynależny do państwa”. W konsekwencji Żydzi winni opuścić Polskę, gdyż „Odzydzenie miast i miasteczek jest niezbędnym warunkiem zdrowego rozwoju gospodarstwa narodowego”.

W okresie okupacji to wrogowie stanowisko względem Żydów w środowiskach narodowo - radykalnych związanych z wojenną mutacją ONR (chodzi tu o Grupę „Szanca” oraz jej siłę zbrojną - początkowo Związek Jaszczurczy, a następnie Narodowe Siły Zbrojne) nie uległo w zasadzie zmianie. Fakt ten starali się w okresie powojennym wykorzystać historycy tak krajowi, jak i emigracyjni, przedstawiając NSZ jako bandę antysemickich maniaków opanowanych ideą niszczenia (wspólnie z Niemcami) wszystkiego co żydowskie.

Moim zdaniem jest to sąd głęboko krzywdzący NSZ, co postaram się udowodnić na kilku przykładach. Na wstępie chciałbym zaprezentować relację pplk NSZ - Tadeusza Boguszewskiego (uważając się zresztą za „pilsudczyka”), w której czytamy m.in.: „Stwierdzam jednak kategorycznie, że w latach 1939-1947 tepiono we własnych szeregach politycznych, w Związku Jaszczurczym i w Narodowych Siłach Zbrojnych wszelkie zapędy antysemickie. Współczucie dla tepionego nieludzko narodu żydowskiego, pamięć na pietno antysemickie z lat 1934-1939 i obawa przed własnorecznym włożeniem broni w ręce

Moskwy, własnej komuny i dygnitarzy w rodzaju Tatara, Rzepieckiego, Sanojcy i legionu innych - były gwarancją, że grupa „Szanca” i NSZ będą się trzymać jak najdalej od jakichkolwiek czynnych wystąpień antyżydowskich!”. Autor powyższej relacji opracował również pod kierunkiem ówczesnego dowódcy NSZ - płk Kurcjusza wytyczne do Akcji Specjalnej NSZ. W wytycznych tych wyraźnie podkreślano, iż jakiegokolwiek wystąpienia przeciw Żydom miały być karane i tepione.

Kapitan J. Wolanski, komendant powiatowy NSZ, stwierdza, że na terenie okręgu, w którym w czasie wojny przebywał, nie zetknął się z ani jednym przypadkiem działalności NSZ, która byłaby skierowana przeciw Żydom. Co więcej; w latach 1943-1944 w jego mieszkaniu znalazł schronienie wraz z żoną i synkiem Żyd - mecenas Antoni L., znany mu jeszcze z lat szkolnych.

22 września 1943 roku we wsi Dąbrowka (powiat włoszczowski) powstał oddział partyzancki NSZ pod dowództwem kpt. Władysława Kolacińskiego - „Zbika”. Oddział ten miał w swych szeregach Żyda - lekarza, dr Kamńskiego. Brat „Zbika” - Józef w okresie istnienia getta w Piotrkowie utrzymywał z nim stały kontakt, a nawet organizował ucieczki Żydów. Na jego prośbę kpt. Kolaciński wyprowadził grupę Żydów (jedenastu kobiet i dwoje dzieci) z piotrkowskiego cmentarza w lasy spalskie, a następnie przekazał gospodarzom z sąsiednich wsi.

Zdarzenie to tym bardziej godne jest podkreślenia, że kpt. „Zbik”, który po wojnie nie zaprzestął swej patriotycznej - konspiracyjnej działalności, był oskarżony przez komunistyczną propagandę o dokonanie wraz z jego podkomendnymi w maju 1945r. w Przedborzu masakry na bezbronnych Żydach. Prawda jest, iż w tym czasie w Przedborzu znajdowało się około 300 osób narodowości żydowskiej. Jednak akcja represyjna dotknęła tylko figurujących na liście kilku „wybitnie zasłużonych pracowników UB, tak Żydów, jak i Polaków”.

Rozstrzelano ich nie za przynależność narodowościową, lecz za „tropienie byłych konspiratorów, za zniecanie się w czasie śledztwa i w więzieniach, głównie na byłych żołnierzach - bojownikach!”.

W roku 1960, staraniem Ministerstwa Obrony Narodowej, wydany został album poświęcony mecenstwu, walce i zagładzie Żydów polskich w latach 1939- 1945 (opracowanie: Adam Rutkowski). Jedno ze zdjęć w tym albumie przedstawia sztab Brygady Świątokrzyskiej NSZ z adnotacją u dołu, że brygada ta masowo mordowała Żydów.

Stwierdzenie to nie odpowiada prawdzie, przeciwnie: wiele Żydówek zawdzięcza życie właśnie dowództwu Brygady, które 5 maja 1945r. zdecydowało się wykonać śmiało uderzenie na oboz koncentracyjny w czeskim Holszowie (bo tam wojenne losy zawiodły brygadę - jedyną polską jednostkę partyzancką, która dzięki pomysłowości jej dowódcy, płk Dąbrowskiego - „Bohuna” przedarła się z bronią w reku na zachód Europy). Decyzja ta najprawdopodobniej ocaliła więźniarki - Żydówki, które miały być zgładzone przez obozowe władze w momencie zbliżania się wojsk amerykańskich do Holszowa.

Ostatecznie, zaryzykowałbym hipotezę, że antysemityzm Grupy „Szanca”, ŻJ i NSZ miał charakter czysto teoretyczny, bez praktycznych następstw. W codziennym działaniu środowisko to starało się raczej nie uwypuklać cech wyróżniających przedwojenny ONR. Dochodziło do tego z całą pewnością również zwykłe ludzkie współczucie dla morderzanego narodu żydowskiego.

Skąd wziął się więc pogląd o „antysemickich zbirach z NSZ?”. W moim przekonaniu wynika on z niezrozumienia przez adwersarzy koncepcji walki radykalnego skrzydła obozu narodowego w czasie wojny. Jedną z jej cech przewodnich (i to zresztą pod koniec okupacji niemieckiej) było zwalczanie bolszewickich band w kraju, tak aby „wyczyścić przedpole” przed spodziewanym zajęciem Polski przez Armie Czerwoną. Skład narodowościowy owych band był niejednorodny, nie brakowało w nich, obok Polaków i Rosjan, również Żydów. W momencie likwidacji danej bandy przez NSZ, ginęli także Żydzi, ale - raz jeszcze podkreślam - nie za pochodzenie, a za działalność na szkodę Rzeczypospolitej.

Myszę, że oponenci NSZ nie przyjmują mojego rozumowania za prawidłowe. Niestety, myślowy szablon: przedwojenne pogromy (same w sobie stanowiące rodzaj mitu) - wojenne (w konsekwencji) mordy w połączeniu z wręcz historyczną nienawiścią do tej wielkiej, ponad 70-tysięcznej organizacji, ma nadal wielu zwolenników. Być może w ten sposób starają się oni zapomnieć o swojej, niezbyt chlubnej, działalności przed i po 1945 roku.

„Katolik”, nr 40, 1990

REWIZJONIZM HOLOCAUSTU

Od połowy lat 70-tych Holocaust, traktowany jako religia, jako coś wyjątkowego, nie mającego precedensu w dziejach świata, zaczyna spotykać się z odporem ze strony historyków - rewizjonistów.

Krytykują oni nie tylko jego wyjątkowość, ale także rewidują dotychczasową wersję wydarzeń. Innymi słowami poddają rewizji oficjalnie podawaną liczbę Żydów zgładzonych podczas wojny, a także sposoby ich usmiercania.

Ludzie ci traktowani są przez wyznawców religii Holocaustu, a więc zwolenników cenzury i narzucania opinii światowej fałszywego, propagandowego obrazu przeszłości, jako szarlatani, neonazisci i skrajni antysemici.

Argument to chyba chybiony, gdyż ruch historycznego rewizjonizmu, którego fragmentem (co prawda ważnym) jest nonkonformistyczne podejście do Holocaustu, nie jest jednorodny. Zaangażowani są w nim historycy - zawodowcy, amatorzy, całe instytucje. Nie ma on jednego oblicza ideowo - politycznego. Występują w nim postawy rozciągające się od skrajnej prawicy po skrajną lewicę, a rewizjonisci to ludzie wszystkich nas i wielu narodowości, włącznie z Żydami.

I jeszcze jedna uwaga porządkująca: rewizjonizm historyczny, zauważalny w USA i Europie Zachodniej, a ostatnio w jej środkowo - wschodniej części (może najmniej w Polsce), stara się zwalczać tzw. utarte prawdy nie podlegające z różnych propagandowych, politycznych, „biznesowych” - względów krytyce.

Problem jest więc bardzo szeroki. My skoncentrujemy się tylko na Holocaustie.

W rozwoju rewizjonizmu Holocaustu, po wcześniejszych wystąpieniach Paula Rassiniera (ten wieziony Buchenwaldu i Dory zakwestionował jako pierwszy istnienie komór gazowych w obozach koncentracyjnych/ i prof. Roberta Faurissona (za głoszenie poglądów, że oficjalna wersja eksterminacji Żydów jest nieprawdziwa „wyleciała” z pracy na Uniwersytecie w Lyonie. Potem miał sprawy sądowe i kłopoty z różnymi postępowymi „bombiarzami” -

typowy to sposób rozprawiania się z rewizjonistami; doświadczył tego również autor „Wojny Hitlera” - David Irving), przełomem stała się sprawa kanadyjskiego rewizjonisty Ernsta Zuendela.

W 1985 roku postawiono go przed sądem za wydanie broszury autorstwa Richarda Verralla „Czy naprawdę zginęło 6 milionów (Żydów- DR)”. Na drugim procesie Kanadyjczyka, w roku 1988, wystąpił jako świadek obrony Fred Leuchter, jedyny w USA ekspert od budowy urządzeń do wykonywania kary śmierci - także komór gazowych, w których skazanci usmiertniani są cyjanowodorem, a więc tym samym gazem, jakim mieli być zabijani Żydzi w Auschwitz- Birkenau.

W tym samym roku Leuchter, fachowiec najwyższej jakości, człowiek pozbawiony jakichkolwiek „skłonności politycznych” (on zna się po prostu na komorach gazowych i substancjach zabijających - tyle i aż tyle) udał się wraz z ekipą do Polski, gdzie zbadał komory gazowe w Oswiecimiu, Brzezince i Majdanku. Tezy opracowanej przez niego po powrocie ekspertyzy okazały się zabójcze dla zwolenników oficjalnej wersji Holocaustu, a sprowadzały się do jednoznacznej konkluzji, iż pomieszczenia przedstawiane jako komory gazowe nie mogły służyć do masowego zabijania ludzi (o czym bardziej szczegółowo za chwilę).

Raport Leuchtera stał się bardzo popularny w kręgach rewizjonistycznych. Zainspirował on m. in. niemieckiego naukowca z Instytutu Maxa Plancka - dr Germara Rudolfa do wydania ekspertyzy o cyjanowodorze używanym w Oswiecimiu (godzi się wspomnieć, że w Niemczech ludzie rewidujący Holocaust są narażeni na prawne represje; podobne „przyjemności” niedługo stana się udziałem Polaków).

Należałoby wreszcie skrótkowo ująć tezy i argumenty, jakimi posługują się rewizjonisci Holocaustu. Dla niewtajemniczonych, lub takich, którzy bez zastrzeżeń aprobuje oficjalną wersję wydarzeń, brakuje one zapewne rodzajem szoku. Oздrowieńczego, czy wręcz przeciwnie - nie moje to zmartwienie.

Przede wszystkim należy stwierdzić, że rewizjonisci, przynajmniej ci poważni, bo hochsztaplerów - jak wszędzie, nie brakuje, nie kwestionują antyżydowskiej polityki III Rzeszy, istnienia obozów koncentracyjnych, przymusowej pracy więźniów w tych obozach, deportacji Żydów do gett i obozów oraz śmierci wielu Żydów z różnych przyczyn - także w wyniku masowych egzekucji.

Uważają natomiast, że nigdy nie istniał i nie był realizowany przez władze niemieckie plan systematycznego wymordowania Żydów europejskich, że nie istniały komory gazowe do masowego usmiertniania Żydów oraz że liczba Żydów, którzy ponieśli śmierć w okresie II wojny jest o wiele niższa od podawanej i traktowanej bardzo rygorystycznie liczby 6 milionów.

Ogólniej natomiast Holocaust jest dla rewizjonistów mitem opartym wprawdzie na prawdziwych i strasznych wydarzeniach, które jednakowoż należy widzieć w kontekście XX wiecznej wojny totalnej, prowadzonej bezwzględnie przez wszystkie strony konfliktu i które porównywalne są z innymi wydarzeniami tamtych lat (cierpienia milionów Polaków, masakry niemieckiej ludności cywilnej przez lotnictwo alianckie, śmierć kilku milionów jeńców

rosyjskich - od siebie dodam: i niemieckich w czasie wojny i po wojnie w ZSRR- masakra wojsk japońskich na wyspach Pacyfiku oraz cywilów w macierzy itd.).

Rozpatrzmy teraz te 3 główne założenia rewizjonizmu Holocaustu

1. Polityka III Rzeszy wobec Żydów

Według rewizjonistów nazisci chcieli rozwiązać tzw. kwestię żydowską przede wszystkim poprzez przesunięcie Żydów z Niemiec, a później z Europy, na Madagaskar lub do Palestyny, co zresztą mile było syjonistom (fakt kontaktów nazistów z kolami syjonistycznymi przed i w czasie wojny jest bezsporny).

Po roku 1941 kierownictwo III Rzeszy, mając do dyspozycji ogromne obszary ZSRR, postanowiło deportować Żydów z Europy na Wschód. Niemcy kierowali się tu względami ideologicznymi, bezpieczeństwa (Żydzi jako aktywnie walcząca mniejszość) oraz motywem praktycznym, mającym za podstawę włączenie Żydów dla potrzeb gospodarki wojennej.

Była to polityka brutalna i często zbrodnicza, szczególnie za linią frontu wschodniego, gdzie działały „Einsatzgruppen”, ale nie można mówić o zaplanowanej eksterminacji narodu żydowskiego z motywów ideologicznych, przy użyciu specjalnych urządzeń do zabijania (ruchome komory gazowe itp.).

2. Problem komór gazowych

Rewizjonisci uważają, iż mimo nagłaniania od lat 40-tych istnienia w obozach koncentracyjnych komór gazowych do masowego usmiercania ludzi (głównie, a w zasadzie wyłącznie Żydów i Cyganów), przez długie lata nie istniały żadne ekspertyzy techniczno-kryminalistyczne poświęcone tym szczególnym narzędziom mordu. Przełomem okazały się dopiero badania Leuchtera i Rudolfa.

Ich wspólna konkluzja jest jednoznaczna: nie było możliwe usmiercanie gazem milionów (a nawet setek tysięcy) ludzi w pomieszczeniach przedstawianych obecnie wycieczkom w Oświęcimiu, czy na Majdanku jako komory gazowe. Decydują względy techniczne, chemiczne i fizyczne.

Pomieszczenia uznawane za komory gazowe nie miały stalowych drzwi, nie były uszczelnione, co groziło śmiercią wszystkim znajdującym się w pobliżu, także SS-manom. Ściany nie były pokryte odpowiednią warstwą izolacji, nie było urządzeń zapobiegających kondensacji gazu na ścianach, podłodze czy suficie. Komory posiadały zupełnie zwyczajną wentylację, całkowicie nieprzydatną do usuwania mieszaniny powietrza i gazu na zewnątrz budynku, tak, aby nie groziło to życiu obsługi i SS-manów. W ścianach tzw. komór gazowych nie ma prawie śladów cyjanowodoru.

Ze sprawa komór wiąże się oczywiście użycie przez Niemców preparatu Cyklon B, czyli wspomnianego cyjanowodoru.

Cyklon B był w czasie wojny stosowany przez Niemców jako środek zabijający wszy. Stosowano go w komorach do odwyszawiania (ale nie gazowania ludzi!), w koszarach itd. Z wielu względów jego zastosowanie w technice mordowania ludzi było niemożliwe. Cyklon

jest „malo inteligentny” (dlugi, 2 godziny czas wydzielania gazu z granulatu, jeszcze dluzszy bo 20 godzinny czas usuwania tego z pomieszczen, a przeciez Niemcy nic tylko gazowali i gazowali!). Poza tym bylaby to bardzo kosztowna (towar deficytowy) i niebezpieczna operacja, wymagajaca od ekip wiezniow wyciagajacych ciala uzycia masek przeciwigazowych z filtrami i ubrania specjalnych uniformow ochronnych oraz rekawic (gaz dziala przez skore).

I jeszcze o usuwaniu zwlok, czyli krematoriach.

Zbudowane w Oswiecimiu krematoria mialy sluzyc do spalania zwlok zamordowanych (zagazowanych) Zydow.

Aby to wykonac musialyby jednak, przy podawanej oficjalnie liczbie zabitych przez Cyklon B, miec przepustowosc kilkanascie razy wyzsza od najnowocześniejszych, sterowanych komputerowo krematoriow wspolczesnych! Takich obozy nie posiadaly.

Podsumowujac ten watek mozemy wiec stwierdzic bez popelniania wiekszego bledu, ze Cyklon B stosowano w obozach do dezynfekcji, nie zas mordowania ludzi (tak wiec slynna „selekcja do gazu” byla zwyklym podzialem nowoprzybylych wedlug wieku, plci, stanu zdrowotnego); laznia sluzyla w obozie do kapieli, nie byla miejscem gdzie mordowano ludzi; opowiadania ocalalych wiezniow jakoby widzieli gazowanie ludzi sa bezwartosciowe. Jest to dramatyzowanie i tak juz dramatycznej sytuacji (podobnie rzecz sie ma z zeznaniami oskarzonych po wojnie SS-manow - kajajacych sie ulegajacych presji przesluchujacych, chcacych odgrywac w obliczu szubienicy role „piekielnych facetow” - przypadek Rudolfa Hoessa).

Wniosek ostateczny nasuwa sie sam: w obozach ludzie glownie umierali na skutek chorob wynikajacych z niedozywienia, zlych warunkow higienicznych, morderczej pracy, a ciala palono w krematoriach by zapobiec epidemii.

3.Ilu Zydow ginelo podczas II wojny swiatowej na terenach okupowanych przez III Rzesze?

Dane dotyczace Zydow, ktorzy poniesli smierc na skutek polityki wladz III Rzeszy w okupowanej Europie musza dotyczyc nastepujacych przypadkow: choroby i epidemie wywolane „sztucznie” przez wladze okupacyjne (zamykanie i zageszczanie gett, glodowe racje zywnosciowe dla przygniatajacej wiekszosci ludzi), praca ponad sily (obozy koncentracyjne), brutalnosc deportacji do gett i obozow, usmiercanie podczas walk Zydow - uczestnikow ruchu oporu oraz osob zupełnie nieaktywnych, majacych jednak nieszczescie przebywac na terenach bedacych arena dzialania Einsatzgruppen.

Dodajmy do tego ofiary zbrodniczych eksperymentow medycznych oraz Zydow zabitych przez kolaboranckie szumowiny spoleczne (aryjskie i zydowskie). Powyzsze, tragiczne wyliczenie nie bedzie wiec obejmowac ofiar sowieckiej polityki wobec polskich, litewskich, lotewskich, estonskich i rumunskich (besarabskich) Zydow w latach 1939-1941 (a znacza to liczba, nie wiedziec czemu przypisywana Holocaustowi dokonanemu przez Niemcow), ludzi zmarlych z przyczyn naturalnych bez zwiazku z okupacyjna rzeczywistoscia, czy wreszcie ofiar wypadkow drogowych, utoniec, zatruc medykamentami itd. (do tej pory wszystkie te przypadki byly wlaczane do hekatomby Holocaustu). Zsumowujac poszczegolne kategorie, uwzgledniajac zydowskie ofiary pacyfikacji, obozow koncentracyjnych,

tragicznego, okupacyjnego bytu, wydaje się, że liczba 2,5 miliona Żydów - ofiar Holocaustu nie będzie daleka od prawdy.

CZY IZRAEL JEST PAŃSTWEM DEMOKRATYCZNYM?

Powszechnie uważa się, że państwo Izrael jest tworem demokratycznym, stanowiącym chlubny wyjątek na Bliskim Wschodzie. Zgadzam się, z jednym wszelako zastrzeżeniem: jest to demokracja „narodu Wybranego”, nie spełniająca międzynarodowych standardów praw człowieka, oparta o skrajny nacjonalizm, nietolerancje dla gojów i ogólna niechęć do wszystkiego co wiąże się z gólem (światem nieżydowskim).

Zgodnie z oficjalną definicją Izrael jest państwem należącym wyłącznie i tylko, bez względu na miejsce zamieszkania, do osób określanymi przez władze izraelskie jako Żydzi. Z drugiej strony Izrael nie należy do obywateli nieżydowskiego pochodzenia (ok. 17% ogół ludności w starych granicach państwa z roku 1967), których oficjalnie zalicza się do osobnej kategorii.

Nieżydowska ludność Izraela - Arabowie i Druzowie - jest dyskryminowana w 3 podstawowych dziedzinach życia społecznego - ekonomicznego. Chodzi o prawo do zamieszkania, prawo do pracy i zasadę równości wobec prawa.

Dyskryminacja z tytułu zamieszkania wynika z faktu, że 92% terytorium Izraela jest w rękach państwa. Tereny te administrowane są przez Izraelskie Władze Ziemi w oparciu o wytyczne Żydowskiego Funduszu Narodowego, organizacji afiliowanej przy Światowej Organizacji Syjonistycznej. Uchwalone przez Fundusz przepisy odmawiają prawa do zamieszkiwania, otwarcia firmy, a często prawa do pracy wszystkim nie-Żydom tylko dlatego, że nie są Żydami. Jest to przykład skrajnej nietolerancji, ale jako że dotyczy państwa Izrael, na świecie zbywany jest milczeniem. Każda uwaga krytyczna byłaby tu poczytywana za antysemityzm.

Nieżydowskim obywatelom Izraela nie przysługuje równość wobec prawa. Najwyraźniej widac to w fundamentalnej ustawie o powrocie, zgodnie z którą bezwarunkowe prawo wjazdu i osiedlenia się na terenach Izraela mają wyłącznie osoby uznane za Żydów. Ludzie ci natychmiast otrzymują obywatelstwo oraz bezzwrotną zapomogę w wysokości 20 tys. dolarów na rodzinę (Żydzi sowieccy). Obywatelowi, który opuścił kraj czasowo, a do którego stosuje się klauzula: „może imigrować zgodnie z ustawą o powrocie” (chodzi tylko o Żydów), w momencie powrotu do ojczyzny przysługuje szereg ulg celnych, prawo do niskoprocentowej pożyczki itd. Nieżydowskim obywatelom Izraela żadne z tych dobrodziejstw nie przysługuje. Intencja jest więc jasna: przyciągnąć do Izraela jak najwięcej Żydów z diaspory, tak aby zapewnić państwu jednolity narodowy charakter. Problem to o tyle naglący, gdyż przyrost naturalny wśród izraelskich Arabów (cały czas pomijamy milczeniem Terytoria Okupowane) jest wyższy niż u Żydów, co zaowocowało w ostatnich 40 latach znaczących wzrostem tej własnej ludności.

Podstawowym narzędziem wdrażania dyskryminacji w życiu codziennym są osobiste karty tożsamości, które każdy obywatel musi nosić zawsze przy sobie. Na karcie widnieje narodowość posiadacza (Żyd, Arab, Druz), co ułatwia pracę policji.

W Izraelu przepisy prawa rabinackiego regulują prywatny status obywateli żydowskich, skutkiem czego żaden Żyd nie może poślubić osoby nie będącej żydowskiego pochodzenia. Małżeństwa zawarte za granicą (np. na Cyprze) są wprowadzane, ale dzieci ze związków żydowsko - gojowskich uważane są za dzieci nieslubne (dzieci pozamałżeńskie, ale mające za rodziców Żydów są uznane za prawowite). Jeżeli ktoś ma nieszczęście być urodzonym przez matkę - gojkę, nie może zawrzeć związku małżeńskiego. Osoby takiej nie można również pochować. Przepisy te dziwnie przypominają niemieckie Ustawy Norymberskie z roku 1935, a niektórzy wręcz twierdzą, że współczesny Izrael to III Rzesza a rebours.

Ostatnim czynnikiem wzmacniającym nacjonalistyczny i izolacjonistyczny charakter Izraela oraz ekskluzywizm Żydów, jest ideologia ziemi Odzyskanej. Ideologia ta wpaja się Żydom od najwcześniejszych lat. Zgodnie z nią Ziemia Odzyskana stanowią terytoria, które z rąk nieżydowskich przechodzą w żydowskie. Mogą one stanowić własność prywatną lub państwową. Ziemia w rękach nieżydowskich określana jest jako nie odzyskana. Gdy zostaje odzyskana - ludność nieżydowska tam mieszkająca Żydzi starają się usunąć. Ta właśnie ideologia doprowadziła do aneksji sąsiednich terytoriów arabskich w roku 1967, a plany judaizacji Zachodniego Brzegu to również owoc tej obłędnej, ekspansjonistycznej idei (Żydzi mają prawo do 70% Zachodniego Brzegu Jordanu, tymczasem stanowią tam mało znaczący procent ogółu ludności. Współczesne rozmowy o przekazaniu kolejnych obszarów pod palestyńską kontrolę rozbijają się wobec nieustępliwości strony żydowskiej, która raz zaanektowane terytoria nieżydowskie nie może - wbrew tradycji - oddać gojom).

Te kilka uwag pozwala, jak sądzę, wyrobić sobie zdanie o specyficznej demokracji izraelskiej. Demokracji „przez Żydów i dla Żydów”. I tylko dla nich.

MASONICA **MASONERIA I SPISKOWA TEORIA DZIEJÓW**

Historia nigdy nie była wolna od spisków. Spiski bowiem immanentnie związane są z władzą, zyskiem itd. Tym najmniej, mimo ponawianych prób, nie one na przestrzeni dziejów - do pewnego momentu - wyznaczały ich bieg. Były co najwyżej jednym z elementów.

Dlaczego? Dlatego, że świat, że dzieje ludzkie podążały naturalną, ewolucyjną ścieżką, a jednocześnie były mocno osadzone w wierzeniach religijnych, tradycji, poszanowaniu naturalnego porządku rzeczy. Były to czasy, gdy Boga uważano za Boga, a człowieka za ograniczoną w swoich możliwościach istotę.

I nagle 250-300 lat temu wszystko uległo zmianie. Człowiek stał się równy Stworcy i w końcu zakwestionował jego istnienie. Postanowił wywrócić naturalny ład - ewolucję zastąpił rewolucją. Pojawiły się kłamliwe hasła Wolności, Równości, Braterstwa; szybko okazało się, że mają korzystać z nich tylko nieliczni - tzw. nowe elity wyzwolone z pod Boskiej kurateli.

Nastal czas nowoczesnych, tajnych, półtajnych, supertajnych ciał, nienazwanych i nazwanych agend. Historia stała się planem, igraszką w ich rękach. Uważam, że tylko od nas zależy, czy powróci ona w swoje naturalne, od 2000 lat sprawdzone łozysko.

Określenie masoneria wywodzi się z języka angielskiego (free masons). Tak określano murarzy, kamieniarzy i budowniczych, którzy organizowali się w międzyregionalne cechy i

pod przysięga przestrzegali murarskich zobowiązań. Zamiennie stosowano i inne nazwy: farmazonia, dzieci wdowy, królewska sztuka, złota międzynarodowka.

Pochodzenie masonerii okryte jest tajemnicą. W wiekach XVIII i XIX pisarze masonscy przywiązywali wielką wagę do udowodnienia jej starożytności. Wskazywali na początek masonerii w legendarnych antycznych bractwach i związkach. Niektórzy historycy dochodzili nawet do 12 hipotez tłumaczących jej pochodzenie. My ograniczymy się tylko do kilku:

1. Historia ludzkości jest tożsama z historią masonerii. Twórcą masonerii był - Adam, ewentualnie Kain.

2. Wolnomularstwo wywodzi się z misterium Indii i starożytnego Egiptu.

3. Templariusze. Jak wiemy był to zakon rycerski, który przybrał nazwę Militia templi Salomonis. Został założony w roku 1118. Ich strojem był biały habit i biały płaszcz dla rycerzy. Po 1145 r. na lewym ramieniu nosili czerwony krzyż. Zakon szybko rosł w potęgę. W wieku XIV we Francji posiadał 2 miliony hektarów gruntów ornych wolnych od podatków. Templariusze byli niewygodnymi konkurentami dla władzy królewskiej. Dlatego też rozprawiano się z nimi okrutnie. W roku 1310 spalono 54 templariuszy jako odszczepieńców, a 4 lata później samego Wielkiego Mistrza zakonu Jakuba de Molay, który przed meczem śmierci miał rzucić klątwę na swoich prześladowców - króla i Kościół.

Jedną z legend masonskich głosi, że w dniu spalenia de Molay kilku jego zwolenników zebrało szczątki mistrza i poprzysięgło katom zemstę. W łonie samej masonerii zdania na temat związku z templariuszami są podzielone. Część masonów jest sceptyczna, nie przeszkadza to wszakże w powstawaniu szeregu stowarzyszeń będących blisko masonerii, a powołujących się na Jakuba de Molay. Przykładem niech będzie Zakon Templariuszy Wschodu, którego odnowicielem w XX wieku został Aleister Crowley (stojący od 1912 roku na czele brytyjskiej sekcji zakonu) i noszący imię Baphomet. Ow Baphomet to antychrześcijańskie bóstwo, któremu część mieli oddawać w Azji templariusze - po latach walk z muzułmanami ostrygli z krzyżowego zapалу, podatni na niepokojące idee Wschodu, a z czasem i doczesne uciechy (pijanstwo, homoseksualizm). Przedstawiany jest on jako kozioł z wielkimi rogami siedzący na ujarzmionym globie. Na łbie ma pentagram (5 ramienna gwiazda), u pleców zaś skrzydła. Skojarzenie z symboliką szatanistyczną jest tu jak najbardziej zasadne.

4. Budowniczość katedr. Jest to najpopularniejsza hipoteza sięgająca źródeł masonerii. Bractwa

murarskie, zazdrośnie strzegące zawodowych tajemnic, podupadły w wieku XVII. Dla ratowania sytuacji, do loży zawodowych zaczęto więc przyjmować przedstawicieli innych zawodów. Z czasem to oni zmajoryzowali bractwo, dając początek właściwej masonerii.

5. Oświecenie. Wielu badaczy za prawdziwe źródło masonerii uważa Oświecenie. Dorobek myślowy Oświecenia można, w ogromnym skrócie, sprowadzić do kilku twierdzeń: uznanie za boskie tego wszystkiego, co jest uniwersalne, wiara w wartość człowieczeństwa, odrzucenie spekulatywności i metafizyki na rzecz wartości ziemskich. W efekcie otrzymujemy radykalne odwrócenie dotychczasowych relacji między Bogiem a człowiekiem, upadek całego szeregu przekonań religijnych i zasad moralnych.

6. U podstaw masonerii stoją mesjanistyczne dążenia Żydów.

Mysle, ze powyzsze hipotezy, roznej przeciez jakosci, zmuszaja do precyzyjnego, na ile stac na to autora, ujecia podstawowych nurtow ujetych we wlasciwej, zrodzonej u poczatku wieku XVIII masonerii. Wszystkie one mialy i maja cechy wybitnie antychrzescijanskie, a mowiac precyzyjniej - antykatolickie. Nalezy to powiedziec wprost: bez organicznej nienawisci masonerii do Kosciola i wszystkich wartosci na ktorych strazy stoi, zrozumienie istoty tej tajnej struktury, jej dazen i ukrytych celow, nie jest mozliwe. Masoneria laczy wiec w sobie gnoze z jej okultyzmem, hermetyzmem i przejawami satanizmu; poganski (neopoganski) naturalizm, w pelni dojrzaly w epoce Oswiecenia - prymitywnie racjonalistyczny, libertynski; nurt protestancki, odrzucajacy frontalnie hierarchie Kosciola, dopuszczajacy dowolna interpretacje prawd wiary oraz nurt judaistyczny, ktory najmocniej odcisnal swe cechy na symbolice, obrzedowosci i duchu masonerii. Przyznal to nawet XIX wieczny naczelnny rabin USA- Issac M. Wise („Masoneria jest instytucja zydzowska, ktorej historia stopnie, godnosc, hasla i nauki sa zydzowskie od poczatku do konca")

Masoneria jest tajnym towarzystwem w tajnym towarzystwie. Jej doktryna zewnetrzna, przeznaczona na uzytek profanow i szarej, czesto otumanionej masy czlonkowskiej, pelna pieknie brzmiacych hasel (Wolnosc, Braterstwo, Czlowiek, Dobroczynnosc), stanowiacych przykrywke wlasciwych celow.

Tak naprawde wysoko postawieni „bracia fartuszkowi" sa lucyferianami pragnacyimi zastapic panowanie chrzescijanskiego Boga (Adonaj) rzadami upadlego Aniola - Lucyfera - Wielkiego Budownika Swiata.

W konsekwencji nienawidza Kosciola, tradycji chrzescijanskiej, wytworzonej w ciagu 2000lat moralnosc i wszystkich tych wartosci, ktore w naukach zawarl Jezus.

Z tego negatywnego uczucia wynikaja metody dzialania i ostateczne cele, jakie stawiaja sobie dzieci wdowy.

W sferze dzialan masoneria nastawila sie na rewolucje, ktora miala zniszczyc stary, a wprowadzic nowy porzadek. Obejmowalby on stopniowa likwidacje instytucji Kosciola, nowa moralnosc ustanowiona przez wyzwolonego od Boga czlowieka, rzady Rozumu itd. Bez watpiecia tak rewolucja we Francji, jak i rewolucje w Rosji byly przez nia inspirowane.

Kazda idea, kazda mysl niszczyielska, przeciwna Bogu i uznanym relacjom miedzy Nim a czlowiekiem byla przez masonerie popierana i sponsorowana. Do pewnego momentu takim sojusznikiem pozostawal socjalizm - komunizm, a nawet neopoganski faszyzm.

Po II wojnie swiatowej tajne bractwo zmienilo taktyke, rozpoczynajac „pokojowa walke ze starym Swiatem", oparta o stare, liberalno - demokratyczne hasla, z wykorzystaniem najnowocześniejszych osiagniec techniczno - cywilizacyjnych.

W odniesieniu do religii i Kosciola katolickiego postuluja one m.in. usuniecie tychze z dzialow aparatu panstwowego i instytucji publicznych, sekularyzacje malzenstwa, wprowadzanie swieckiej oswiaty, propagowanie wolnosc religijnej dla wszystkich sekt (np. tych wyroslych z New Age - naturalnego, oczywiscie do pewnego momentu, sojusznika masonerii) i grup wyznaniowych, z wyjatkovym wszakze traktowaniem katolicyzmu, oskarzonego bezustannie - o brak tolerancji.

Masonska walka ze starym porzadkiem nie rozgrywa sie tylko na plaszczynie bezposredniego starcia z Kosciolem.

Dodajmy do tego „swieckie” (ale zawsze zwiazane z dzialalnoscia masonskiego antykosciola) elementy ofensywy: nieogranicza wolnosci prasy w gloszeniu hasel antyreligijnych i zasad sprzecznych z moralnoscia (to samo dotyczy mass - mediow elektronicznych, kin, teatrow); usuniecie wszelkich roznic w traktowaniu osob plci przeciwnej i popiera nie skrajnego feminizmu (prekursorem byl tutaj Adam Weishaupt, jedna z najbardziej diabolicznych postaci Europy przelomu XVIII/ XIX wieku, czlowiek, ktory ideologicznie przygotowal rewolucje we Francji, chociaz nie zapominajmy o nikczemnym Voltaire) - tej wymyslonej przez mezczyzn pulapki dla glupich i latwowiernych kobiet.

Masoneria stara sie opanowac wszelkie sfery zycia intelektualnego i spolecznego. Jest to niezbedny czynnik do przejecia wladzy nad calym swiatem. Wiele jej postulatow zostalo juz zrealizowanych. Zlotej miedzynarodowce, zasobnej w nieograniczone fundusze, kontrolujacej mass-media, banki, politykow, penetrujacej Kosciol (dobrym przykladem niech bedzie Holandia, a ostatnio nawet Polska ksiedza Tischnera i paramasonskiej katolewicy) i uniwersytety, udalo sie przynajmniej podminowac chrzescijanstwo, wzbudzic wsrod ludzi watpliwosci co do jego prawdziwosci i przydatnosci, wreszcie wyzwolic drzemiacze w nich poklady permisywizmu, relatywnosci i prymitywnego materializmu.

Obawiam sie, ze wypowiedziane 20 lat temu zdanie prominentnego masona Wielkiego Wschodu - Baroin: „Godzina masonerii wybila”, nie jest czcza przechwalka. Czas pokaze.

MASONERIA- RYTY- OBRZEDY

Rozwijajace sie od XVIII wieku loze masonskie oparły swoja dzialalnosc o zredagowana w roku 1723 przez dr Jamesa Andersona konstytucje. Dzieło tego kaznodziei prezbiterianskiego nosilo tytuł: „Konstytucje Masonskie Zawierajace Przepisy, Statuty tego Najbardziej Starozytnego i Prawego Bractwa”. Do dzis dnia sa one podstawowa masonska wykladnia zasad, praw i regulaminow rządzacych poszczegolnymi lozami.

Pamietajmy jednak, ze ogromny rozwoj loz w wieku XIX doprowadzil do rozlamu w lonie masonerii w II polowie tego wieku. Otoz w roku 1877 paragraf 2 art. I „Konstytucji Andersona”, mowiacy o istnieniu Boga (pomijam antychrzescijanskie rozumienie Jego istoty) zostal usuniety. Dokonala tego Loza Wielkiego Wschodu we Francji. W wyniku tej zmiany Wielka Loza Angielska, okreslajaca sie jako „chrzescijanska”, zerwala z Loza Wschodu.

Oficjalnie wiec Wielki Wschod Francji i pewne meksykanskie oraz poludniowo amerykanskie loze nie sa reprezentowane w Wielkich Lozach anglosaskich, tym niemniej wszystkie loze masonskie polaczone sa ze soba w Wielkim Lancuchu Wolnomularstwa za posrednictwem licznych organizacji pomocniczych- np. Wielkiej Lozy „Alpina” w Szwajcarii, miedzynarodowych kongresow, nie mowiac o wspolnocie ducha i celu, ktory im przyswieca.

Sami wolnomularze zreszta przyznaja, ze stanowia jeden organizm. „Nie ma zadnej masonerii narodowej ani zorientowanej wyznaniowo, lecz jest tylko jedna, czysta, niepodzielna”; „Masoneria wszystkich krajow i czesci swiata tworzy jedna calosc”.

„Masoneria tworzy wszedzie zwarta calosc. Ale nie przez rytual - takze nie przez jurysdykcje - i nie przez wspolnote swoich czlonkow. Jest ona zawarta w jej prawdziwym duchu tajnej

nauki; jednolita (masoneria- DR) w swoich naukach i swoim swietle, jednolita w swojej filozofii i w swoich zakonach. Tworzy zatem jedna rodzine, jedno ciało, jeden wspólny lancuch braterski, jeden jednolity zakon". To tylko trzy przykłady licznych, „zjednoczeniowych” wypowiedzi masonów.

W strukturze masonerii podstawowa komórka jest loza. Wolnomularstwo dzieli się na samodzielne wspólnoty (Wielkie Loze lub Wielkie Wschody) zwane też Federacjami, Wyzszymi Radami, Silami MASONSKIMI. Te wielkie oddziały masonerii rządzone są przez Rade lub Komitet Wykonawczy. Na czele każdego z nich stoi Wielki Mistrz.

Wielka Loza składa się z loz jednego kraju lub okręgu. Na czele Wielkiej Lozy stoi Wielki Mistrz i Rada Wielkich Urzedników (Wielki Warsztat). Na zgromadzeniach Wielkiej Lozy Mistrzowie Katedry (Czcigodni Loz) reprezentują poszczególne loze. Do założenia lozy potrzebne jest pisemne upowaznienie (konstytucja) Wielkiej Lozy. Loza założona nieprawidłowo jest uważana za „nieregularna”. Każda loza nosi symboliczną nazwę, uzupełnioną przez nazwę siedziby.

Do loz należą, oprócz członków zwyczajnych, członkowie honorowi, bracia odwiedzający i bracia słuźacy, nieuprawnieni do głosowania i pełniący słuźbę w lozy, przy stole itp. Sprawami lozy kieruje Mistrz Katedry.

Dodajmy jeszcze, że w łonie loz wyroźniamy również zgromadzenia rytualne (loze rytualne). Mogą być to przypadkowo loze urzednicze, pracujące (przyjmują kandydata do stopni masonskich), instrukcyjne, zalobne, biesiadne.

Dosyć ciekawie przedstawia się stosunek masonów do kobiet, którym werbalnie przyznawali „od zawsze” równouprawnienie. Tymczasem w praktyce życia lozowego mężczyźni decydują niemal o wszystkim. Malzonki, rodzone siostry i narzeczone wolnomularzy noszą miano siostr masonskich. Niektóre loze łączą je (i to tylko przy niektórych okazjach) w loze siostrzane. Tylko w niektórych krajach kobiety uczestniczą w pracach loz na równych prawach. We Francji istnieją także loze wyłącznie kobiece. Nie będę chyba daleki od prawdy, jeżeli powiem, że ta polityka w stosunku do niewiast ma sens. Te bowiem, oprócz wielu zalet umysłowych, no i tych widocznych gołym okiem, mają jeden, zasadniczy defekt: lubią gadać. A masoneria to tajemnica.

Poszczególne loze różnią się znacznie ilością istniejących w nich stopni wtajemniczenia, obrzędami, symbolami - w zależności od przyjętego i obowiązującego w danej lozy rytu..

Czym jest ryt masonski?

Pojawienie się nowych rytów zawsze znamionowało konieczność przeprowadzenia jakiejś określonej akcji politycznej czy zamierzenia filozoficznego. Mogło chodzić np. o rewolucyjny przewrót, czy jakąś nową oprawę symboliczną odpowiadającą duchowi czasów.

Wyroźniamy 3 grupy rytów: ryty studiów filozoficznych i bezpośredniej akcji politycznej (niewielka ilość stopni wtajemniczenia, szczególna tajemniczość stopni wyższych. Wg tych rytów pracuje np. Ryt Francuski Nowoczesny i część Wielkich Wschodów); ryty tradycyjne (charakteryzują się tradycyjnym symbolizmem i hierarchią. Przedstawiają poprzez stopnie całą historię tajnych tradycji od Salomona poprzez Templariuszy po Alchemików. Do tego rytu należy Ryt Szkocki i Uznany); ryty kabalistyczne i mistyczne (zastrzeżone dla elity,

innym rytom zostawiają trud przygotowania niższych wtajemniczeń. Najbardziej znanym z tych rytów jest „Misraim” i „Memphis”).

Najbardziej popularny jest Ryt Szkocki i Uznany, który wbrew nazwie powstał we Francji epoki napoleońskiej. Ten mocno przesiąknięty tradycją judaizmu obrządek posiada 33 stopnie wtajemniczenia. Pierwsze trzy stopnie (do mistrza włącznie) to tzw. Masoneria Niebieska, podstawowa masa członkowska bractwa. Stopnie kapitułarne (od 4. do 18.) tworzą Masonerie Czerwona. Stopnie filozoficzne (od 19 do 30) mieszczą w sobie Masonerie Czarna. Trzy ostatnie stopnie administracyjne to ekskluzywna Masoneria Biała z Wielkim Inspektorem, Inkwizytorem, Komandorem, Księciem Królewskiej Tajemnicy i Generałem Wielkim Inspektorem.

Obrządek Szkocki obierany jest przede wszystkim przez tych, którzy pragną „szybką” ziemską władzę. Jeżeli braciom zależy na możliwie rychłym przejściu danego, prominentnego dygnitarza, procedura otrzymywania poszczególnych stopni (do 32 włącznie) odbywa się w tempie ekspresowym, np. w czasie jednego weekendu. Tak było w przypadku prezydenta USA, Tafta, czy gen. Douglasa Mac Arthura. Albo pomysłodawcy odbudowy Europy po II wojnie światowej, zgodnie z duchem i celami USA - Marshalla.

Powróćmy jeszcze do istoty działalności masonerii, której cele ostateczne, zawarte w doktrynie wewnętrznej, są ukryte nie tylko przed niemasonami (profanami), ale i szara masa członkowska loży - tym miesem armatnim knowanym wysoko, bardzo wysoko postawionym braci.

Zacytujmy tym razem słowa uznanego autorytetu, który miał zresztą romans z masonerią (czyni go to tym samym jeszcze bardziej wiarygodnym) - wicehrabiego Leona de Poncins: „Wielkim zadaniem masonerii jest szerzenie idei szlachetnych i pięknych niekiedy na pozór, lecz w rzeczywistości destrukcyjnych (jak) Wolność, Równość, Braterstwo.

Masoneria, będąca ogromną organizacją propagandową, działa poprzez wolną sugestię, rozpowszechniając podstępnie rewolucyjny ferment. Zasięgi rzucają przez głowy w lożach wewnętrznych, te przekazują je lożom niższym, skąd przenika on do związanych z masonerią instytucji i do prasy, trzymającej w ręku opinię publiczną.

Niestrudzenie i przez niezbędną liczbę lat, sugestia działa na opinię publiczną i kształtuje ją tak, by pragnęła ona reform, od których umierają narody. W latach 1789 i 1848 (lata rewolucji francuskiej), wolnomularstwo, zdobywszy chwilowo władzę, przegrało jednak w szczytowej fazie swych wysiłków. Nauczone tymi doświadczeniami, zaczęło ono postępować wolniej i pewniej.

Gdy przygotowania rewolucyjne zostają ukończone i uznane za wystarczające, masoneria ustępuje pola walczącym organizacjom, karbonariuszom, bolszewikom lub innym stowarzyszeniom jawnym bądź tajnym, a sama usuwa się w cień na zaplecze. Pozostaje ona tu nie skompromitowana; w razie niekorzystnego zwrotu sytuacji, udaje, że pozostawiała na boku i jest coraz bardziej zdolna do kontynuowania swojego dzieła, niczym zrączy robak, skryty i niszczyielski.

Masoneria nigdy nie działała w pełnym świetle dnia. Każdy wie o jej istnieniu, o miejscach jej zebrania i o wielu spośród jej adeptów, nie zna jednak jej prawdziwego celu, jej

prawdziwych srodkow i jej prawdziwych przywocow. Nawet ogromna wiekszosc samych masonow znajduje sie w tej sytuacji. Stanowia oni tylko slepa maszynerie sekty".

Tych slepych trybikow nie stanowia wylaczenie szeregowi masoni. Wypelniaja one cale zycie spoleczno- polityczne, niemal wszystkie instytucje gospodarcze. Masoneria, dla wzmocnienia swojego dzialania, nie waha sie tez przed powolywaniem do zycia roznych wolnomularskich przedszkoli typu kluby rotarianskie, Lions Clubs, stowarzyszenia krzewienia kultury swieckiej itd., ktore wykonuja wolnomularskie zadania (chociazby poprzez atakowanie Kosciola), a jednoczesnie pozwalaja wychwycic co bardziej uzytecznych kandydatow na lozowych braci. Jest to swietnie zorganizowany system, ktory pozwala nielicznej masonerii (bracia zawsze stawiaja na Jakosc - nie ilosc) sprawowac rzad dusz nad „postepowym, antytradycjonalistycznym, swieckim, modernistycznym - liberalnym swiatem". Dobrze o tym wiedziec: nie trzeba byc masonem, nie trzeba nawet wiedziec o tym bractwie, aby wykonac, czesto nieswiadomie, z dobra wola, jego dyrektywy.

Rytual masonski zalezny jest od stopnia wtajemniczenia do jakiego dana osoba pretenduje. W pierwszych dwoch stopniach (uczen, czeladnik) kandydata informuje sie o chrzescijanskim charakterze lozy, wierze w Boga itd. Jezeli nadal bedzie upieral sie przy swoim tradycyjnym swiatopoglądzie - dalej nie awansuje, ale oczywiscie jako uzyteczny trybik moze juz byc wykorzystany.

W stopniu mistrza, czyli trzecim, widac juz subtelne odchylenie od nauk chrzescijanskich. W przysiedze tego stopnia istnieje zapis, iz kandydat nie zaszkodzi lozy ani bratu tego samego stopnia oraz bedzie bronil brata-masona, gdyby chcieli mu zaszkodzic inni.

Przysiega ta stwarza fundament pod wielka niegodziwosc masonerii, ktora rekrutujac, a bardzo to lubi, sadiow, policjantow, szeryfow, adwokatow, prokuratorow, jest przekonana, ze w razie niebezpieczenstwa mistrz masonski, nawet gdyby okazal sie zlodziejem, moze byc pewny bezkarnosci gdy np. sadi go masonski odpowiednik.

W kolejnych stopniach ta swoista solidarnosc, wzmocniona zasada wzajemnego go popierania sie, jest mocno eksponowana. Bylo to widoczne tak w przeszlosci, ze wymienie tylko slynna sprawe Kuby Rozpruwacza, jak i obecnie (sprawa Lozy P-2 we Wloszech, masonskie skandale w Scotland Yardzie).

Pisanie i mowienie pod koniec XX wieku o masonerii, jako o poteznym bractwie wywierajacym w przeszlosci i obecnie istotny wplyw na bieg dziejow, nie jest czynnoscia wdzieczna. „To obled" - powiada postepowa opinia publiczna. Uzupełniają ja tradycyjni antykomunisci, dla ktorych masoneria to karzel, do tego na glinianych nozkach. Ja pozostane przy swoim: bracia maja sie dobrze, ich wizja swiata nabiera konkretnych ksztaltow, Kosciol slabnie, jest przyzwolenie spoleczne. A ze malo kto slyszal o masonerii? To dobrze, farmazonia nigdy nie zabiegala o tania popularnosc. Liczy sie cicha, wydajna i skuteczna praca. Jej efektem koncowym bedzie globalny rzad fartuszkowych wybrancow. I wtedy poznamy prawdziwe oblicze masonerii.

VARIA CI OKROPNI ENDECY

Dyskredytowanie obozu narodowego przez polska lewice trwalo „od zawsze". Jednak od lat 40 - tych poczawszy weszlo ono w nowa, dramatyczna faze.

Okres pierwszy to zasadniczy konflikt z komunistami. Do zakonczenia wojny szeroko rozumiany oboz narodowy prowadzi ostra i konieczna walke z bolszewickimi, „gwardyjsko - alowskimi” bandami lupiacymi pod pozorem rekwizycji lubelskie, bialostockie i kieleckie wsie. Zolnierze Narodowych Sil Zbrojnych i Narodowej Organizacji Wojskowej bronia mienia i zycia polskiego gospodarza. Po wojnie przyjdzie im za to drogo zaplacic.

Bezwzglesnie tropieni, okrazani w lesnych pulapkach, gina w walce, podczas sledztwa lub na mocy wyrokow sadowych.

Oprocz tego odbywa sie prawdziwe polowanie na wybitnych czlonkow tak strasznie doswiadczonego przez okupacje niemiecka Stronnictwa Narodowego. Zostaje m.in. aresztowany Adam Doboszynski, znany z przedwojennego „marszu na Myslenice”. Po nieludzkich torturach - podawano mu takze srodki przeczyszczajace, wywolujace nieznosne cierpienia - zostaje stracony. Przy okazji: czy ludzie gardlujacy po pazdzierniku 1956 roku o metodach dzialania Ministerstwa Bezpieczestwa Publicznego, ci nawroceni demokraci (a do 1956r. zazarci komunisci najgorszego sortu typu: Andrzejewski, Brandys et consortes) kiedykolwiek upomnieli sie o te ofiare zbrodniczego systemu? Oczywiscie nie. Sprawiedliwosc bowiem i ludzkie uczucia narodowcow omijaly. Mozna bylo zrehabilitowac komuniste, socjaliste, nawet chadeka. Endekow nie, bo to w grupie rzeczy „bandyci, szowinisci, antysemita”.

Okres drugi rozpoczyna siê w 1956 roku, ale dopiero w ostatnich latach nabiera wyrazniejszych cech. Tym razem krąg zajadlych przeciwnikow endecji zwiekszy sie. Do komunistow, ktorzy w miêdzy czasie w sposob prostacki staraja sie przejac niektore hasla obozu narodowego, dolaczyli byli komunisci (nazwijmy ich „bracmi odlaczonymi”), socjalisci, ateisci, kosmopolisci (dzialajacy zgodnie z formula p. Michnika: „Moja ojczyzna jest Europa”) - slowem, tworzy sie nieformalny zespol antyendeki.

Powstanie tego zespolu laczy sie moim zdaniem z upadkiem komunizmu, a takze z walka polityczna na jego gruzach. Dopoki rządzila PZPR, wrog byl jeden. Wprawdzie „demokratyczna” lewica endecji (delikatnie mowiac) nie lubila, co wiecej: obłudnie zarzucala jej cicha wspolprace z komunistami, ale byl to drugorzeczny front walki.

W momencie dziejowego krachu i zastapienia go systemem, w ktorym lewica niekomunistyczna zawarla kontrakt z bylymi utrwalaczami wladzy ludowej, atak zostal skierowany na narodowcow.

Mozna by zapytac, dlaczego? Przeciez oboz narodowy AD 1990 jest jeszcze organizacyjnie slaby, wiecej: oprocz Stronnictwa Narodowego istnieje szereg malych grupek mniej lub bardziej udanie nawiązujacych do niesmiertelnych idei lezacych u podstaw dzialania przedwojennego obozu narodowego.

Lewica jednak wie, co robi. Zdaje sobie sprawe, ze pomimo 45 lat upodlenia Polacy, przynajmniej duza ich czesc, wiedziona instynktem, akceptuja lub beda akceptowac hasla gloszone przez narodowcow, a nade wszystko pozostana szczegolnie wyczuleni na tak eksponowane w enuncjacjach Stronnictwa Narodowego niebezpieczenstwo niemieckie.

Lewica sie wiec boi, a strach, jak wiadomo, nierzadko wywoluje agresje. Nie jest ona spontaniczna, lecz znakomicie zorganizowana. Wyrazem jej sa artykuly, artykuliki, oswiadczenia, ktorych celem jest osmieszanie endecji (przoduje tu lewicowa „Gazeta

Wyborcza"), przedstawienie jej jako tworu anachronicznego, szowinistycznego, niemal rasistowskiego.

Tygodnik Narodowy „Ojczyzna”, nr 5, 24 czerwca 1990

SLASKI HEIMAT

Opole, dzień targowy

Na placu dziesiątki plastikowych stolików. Z ustawionych na nich magnetofonów dobywają się tandetne, piwno - parowkowe piosenki typu: „Ich liebe Dich und warum Du mich nicht?”. W przewalającym się tłumie ludzi mnóstwo Niemców, także tych, którzy jeszcze kilka miesięcy temu byli Polakami. Teraz są butni, pewni siebie. Na parkingach metaliczne BMW, Mercedesy, Ople.

Tak wygląda stolica Śląska Opolskiego Anno Domini 1990.

A na wsi? W tych zamieszkałych przez autochtonów - istny festiwal niemieckości. Już gdzieś ukazały się szyldy nad restauracjami w języku niemieckim, a Opole to, według pewnego znaku drogowego, znowu Hauptstadt Oppeln. Zreszta to dopiero początek. Oto bowiem germanskie Towarzystwo mniejszości walczy o dwujęzyczność podopolskich miejscowości, mając zreszta w tym względzie poparcie „supereurotomanów” z „Solidarności” oraz pewnej konserwatywnej partyjki („Jedność Europejska”), której członkowie pewnie zmiesiliby się na mojej składanej kanapie, przy założeniu, że wprzód wpuszciliby tych panów do domu.

Mamy już nawet dwutygodnik mniejszości niemieckiej na Opolszczyźnie, „Oberschlesische Nachrichten”. Czytam wypowiedzi czołowych działaczy mniejszościowego Towarzystwa. Dominują stwierdzenia o Europie bez granic. Prawda, jakimi jesteśmy demokratami: „BEZ GRANIC”. I jeszcze pan Kroll, szef Wasserdeutschow (współ z ojcem - 100% Niemcem, byłym członkiem PZPR odznaczonym przez samego Gierka) jest za napływem obcego kapitału na Śląsk. No, zgadnijcie Państwo jakiego?

Ech, to chyba za mało. A może by tak pobudować sanatoria, prewentoria, zamknięte kluby golfowe „nur fuer Deutsche”. Ubierzemy brudnych Polaków w białe kitle, nauczymy ich podstawowych słówek w naszej pięknej Niemczyźnie, pouczymy, że mają być „freundlich” i już mamy kelnerów, hostessy (prawda, ładniejsze od naszych Helg) - do tego tanich.

Ale uwaga: Achtung, Achtung! Trzeba mieć na nich oko. Pewien nasz „Kamerade” otworzył na obrzeżu Oppeln (śmieszna, słowiańska nazwa: Opole) skąd z używanymi szmatami. Niestety, ci beczelni Polacy zwineli sztuk kilka. Was machen Wir? Jak to, co, nich się rozbierają do koszuli (autentyczne zdarzenie), wchodząc do porządnego niemieckiego sklepu.

W ogóle wytniemy tym uparciuchom niezły numer. Niech się cieszą na razie, że Śląsk jest niby w Polsce. Potem przyjdzie czas na „europeizację” terenów „odwiecznie niemieckich” podług genialnego planu Hartmuta Koschyka, a następnie Aber langsam, langsam.

Tygodnik Narodowy „Ojczyzna”, nr 11, 7 października 1990

Tekst powyższy pisany był w gorącym okresie tworzenia się niemieckich organizacji mniejszościowych w naszym województwie. Proszę mnie nie zrozumieć źle: nigdy nie występowałem przeciwko aspiracjom ludności autochtonicznej, zawsze starałem się, czy to na łamach „Schlesisches Wochenblatt” (które czasami daje zresztą podstawy do podejrzeń o nielojalność w stosunku do Polski), czy w książce poświęconej niemieckiemu księdzu z podopolskiego Naroka, obiektywnie przedstawić tragedię, jakie stały się jej udziałem po roku 1945.

Wszelako uważam Śląsk Opolski za integralną, bez żadnych podtekstów, część Państwa Polskiego. A tymczasem działania znanych organizacji ziomkowskich w Niemczech, z którymi wielu miejscowych Niemców ma całkiem dobre kontakty i przynajmniej nieoficjalnie - powiedzmy: przy halbie piwa - podziela ich antypolskie poglądy, każda zachować daleko posuniętą ostrożność.

Jest rzeczą oczywistą, iż ludzie ci liczą na „Europe bez granic”, a w dalszej kolejności możliwość swobodnego osiedlania się Niemców na Śląsku. Oczywiście europejski mólch będzie dawał w przyszłości Polakom szansę osiedlania się w Niemczech, ale powiedzmy sobie szczerze: ilu to Polaków - posesjonatów będzie stać na np. spędzenie jesieni życia „na swoim” w Bawarii, czy Hesji. I zresztą po co mieliby to robić.

Tymczasem polskie ziemie zachodnie, już to ze względów czysto ekonomicznych, już to zaszłości historycznych, stają się atrakcyjnym terenem osiedlenczym przede wszystkim dla Niemców. Przybysze będą mieli za sobą europejskie prawo i pieniądze, a wszystko zakończy się, trudno tu o inną możliwość, swoistą rekonkwistą. Prowadzona oczywiście metodami pokojowymi, z poszanowaniem praw człowieka, słowem: w rekawiczkach.

Scenariusz jest więc napisany, a znając wręcz organiczny brak u Polaków elementarnej, zdrowego egoizmu narodowego (w przeciwieństwie do regionalnego, także opolskiego), tym łatwiejszy do zrealizowania. Aber langsam, langsam.

PRZYPADKI MARSZAŁKA ZYMIERSKIEGO

Głosno ostatnio wokół marszałka Michała Roli- Zymierskiego. I słusznie - najwyższy czas. Przypisywane mu powojenne zbrodnie (podpisywanie wyroków śmierci, udział w tworzeniu obozów koncentracyjnych dla członków AK) wcale mnie nie dziwią, zauważywszy jego podejrzana działalność przed i w czasie wojny.

Zacznijmy od nazwiska. Prawdziwe brzmiało: Lyzwinski. Oczywiście nie w tym nie byłoby zdrożnego - wszak marszałek Lyzwinski brzmiałoby także niezłe - gdyby nie fakt, że jego zmiana na Zymirski (pierwotna pisownia) wywołała mały skandal. Miało to miejsce w Wiedniu, gdzie nasz legionista kurował się z ran zadanych mu w krwawej bitwie pod Laskami (23-26.X.1914). Wtedy to zaczął uchodzić za prawnuka gen. Zymirskiego - bohatera Powstania Listopadowego.

Kompromitacja nastąpiła w momencie wypełniania papierów w związku ze staraniem hrabiego Mycielskiego o wyrobienie Lyzwinskiemu orderu. Ale to tylko drobiazg.

Na początku lat dwudziestych odnajdujemy Lyzwianskiego - Zymierskiego na eksponowanym stanowisku zastępcy szefa administracyjnego armii. I tu jego zamilowanie do pospolitych szachrajstw ostatecznie wychodzi na światło dzienne. Za zakup we Francji bez

kontroli 50 tysięcy masek gazowych, z których 42% było uszkodzonych - oczami wyobraźni widze nieprzeliczone szeregi „szwejków” duszacych się w czasie ćwiczeń - zostaje skazany na 5 lat więzienia i zdegradowany.

Wyjeżdża do Francji. Tam prawdopodobnie przechodzi na zółd wywiadu sowieckiego.

W czasie wojny, będąc w Polsce, nawiązuje, za zgodą Moskwy, kontakt z Gestapo. Prowadzi m.in. rozmowy z Alfredem Spilkerem, jednym z najmniejbezpiecznych i najinteligentniejszych funkcjonariuszy gestapo w Generalnym Gubernatorstwie, człowiekiem, który specjalizował się w tropieniu podziemnych struktur państwa polskiego.

Współpraca ta była zresztą tylko fragment ogólniejszych działań tzw. komórki dezinformacyjnej Polskiej Partii Robotniczej (zorganizował ją Marceł Nowotko - za to prawdopodobnie „rabneli” go niepoinformowani o misternej grze bracia Molojcowie), polegających na przekazywaniu Niemcom danych o Armii Krajowej i Delegaturze Rządu.

Przy okazji: wcale bym się nie zdziwił, gdyby w przyszłości ktoś wykrył, że aresztowanie np. generała Grota-Roweckiego - przecież m. in. Spilker (niestety zaginął pod koniec wojny) rozpracowywał tę sprawę - było dziełem owej komórki, w tym i szanownego matuzalema komunistycznego oficerstwa.

I na tym zakończę, kłaniając się nisko tym wszystkim postkomunistom, byłym poputcznikom i tej całej pseudo-naukowej halustrze piszącej swego czasu: „pod ustroj”, którzy protestują przeciwko zniesławieniu imienia naszego kochanego marszałka. No cóż: taki marszałek - jakie czasy.

„Katolik”, nr 44, 4 listopada 1990

MALA WOJNA

Polacy zamieszkujący północno-wschodni kraniec przedwojennej Rzeczypospolitej (województwa: wileńskie i nowogrodzkie) w latach II wojny światowej stworzyli jedną, poważną organizację do walki z okupantem niemieckim - Armię Krajową.

Cieszyła się ona powszechnym poważaniem nie tylko wśród Polaków, ale i Białorusinów, którzy w niemałej liczbie zasilili jej szeregi szczególnie na Nowogrodzyczyźnie.

Oddziały Armii Krajowej na Wilenszczyźnie i Nowogrodzyczyźnie nie były jednak jedyną siłą zbrojną, czynnie przeciwstawiającą się Niemcom. Obok nich rozwijała działalność na tych terenach partyzantka radziecka.

Nowogrodzyczyźnie jej główna baza operacyjna stały się puszcze: Nalibocka (ok. 10 tys. żołnierzy), Lipczanska (ok. 5 tys) i Rudnicka. W Okręgu Wileńskim AK koncentrowała się głównie na bagnach jeziora Narocz i w kompleksach leśnych powiatów: postawskiego i brasławskiego.

W skład oddziałów radzieckich wchodziły żołnierze rozbitej w 1941 r. Armii Czerwonej, członkowie aparatu partyjnego, którzy nie ewakuowali się na wschód, Żydzi zbiegli z gett. Od 1943 roku zaczęli je zasilac spadochroniarze przerzucali drogą powietrzną przez front - żołnierze pod każdym względem doskonali.

Ogólnie więc można powiedzieć, że był to element w dużej części napływowy, nie znający miejscowych stosunków i tym samym nie tolerujący obecności innych, nieradzieckich oddziałów.

Fakt ten stał się źródłem niekonczących się zatargów między partyzantami radzieckimi a polskimi. Konflikty te przerodziły się z czasem w krwawe potyczki inspirowane przez Rosjan, widownia których stała się przede wszystkim Nowogrodzyczna. O ich skali świadczą wyliczenia ppłk. Janusza Prawdzic-Szlaskiego, Komendanta Okręgu Nowogrodzkiego AK, który ustalił, że oddziały okręgu stoczyły 83 walki z partyzantami radzieckimi, co stanowiło 1/3 ogółu walk stoczonych przez nowogrodzkiego AK za okupacji niemieckiej.

Przytoczone dane uległyby prawdopodobnie rozszerzeniu, gdyby policzyć starcia między małomiasteczkowo-wiejskimi samoobronami (zwanymi z białoruska „samo schowani”, lecz grupującymi także Polaków współpracujących z AK) a radzieckimi partyzantami. Były one szczególnie krwawe, o czym świadczą przykłady miasteczka Naliboki, w którym oddział radziecki pod dowództwem mjr. Wasilewicza, w kwietniu 1943 r., dokonał mordu na ponad 120 członkach miejscowej samoobrony.

Ludność cywilna na Nowogrodzynie była zresztą szczególnie narażona na akty terroru ze strony oddziałów radzieckich. Dlatego też sama, doprowadzona do ostateczności powtarzającymi się brutalnymi napadami, nie cofała się przed rozwiązaniami radykalnymi. Znany jest przypadek rozsiekania szabłą przez rozsierdzonych mieszkańców pewnej wsi w okolicach Lidy spitych alkoholem partyzantów radzieckich.

Kulminacyjnym jednakże momentem w konflikcie polski - radzieckim na Nowogrodzynie stało się wydarzenie związane z rozbrojeniem przez radzieckie grupy partyzanckie strefy iwienieckiej Baonu Stolpeckiego AK.

Oddział ten został 1 grudnia 1943 roku otoczony przez Rosjan a następnie rozbrojony. Jego dowódca - mjr. Wacława (Wacław Pelka) zastrzelono na miejscu. Pozostałych oficerów odseparowano, a pięciu z nich (w tym cichociemnych: por. Rydzewskiego i ppor. Losia) wywieziono na Lubiankę do Moskwy.

Sukces radzieckiego ataku na Baon okazał się jednak połowiczny, gdyż rozbrojenia uniknęły: grupa ułanów 27 pułku pod dowództwem chor. Zdzisława Nurkiewicza - „Nocy” i 30 żołnierzy ppor. Adolfa Pilcha - „Gory”. Warto przy tym nadmienić, że świadkiem całego zdarzenia był wileński oddział partyzancki dowodzony przez „Małego” (Andrzeja Kutsera), który przybył do Puszczy Nalibockiej z obwodu Molodeczno na zimowy odpoczynek i kwaterował w uroczysku Drywiezna, ok. 0,5 km od Baonu Stolpeckiego. W chwili radzieckiego ataku „Mały” wycofał się z puszczy, a wraz z nim grupa żołnierzy ppor. „Gory”.

Adolf Plich w stosunkowo szybkim czasie odbudował rozbitą oddział i, nauczony smutnym doświadczeniem, zaczął podobnie jak wielu jego kolegów, uważać partyzantów radzieckich za wrogów. Ponadto, w wyniku otoczenia Zgrupowania Stolpeckiego przez oddziały radzieckie, zawiesił czasowo (grudzień 1943- lipiec 1944) walkę z Niemcami.

Człowiek nieobeznany z wojennymi realiami kresów mógłby oczywiście uznać te decyzje za oburzające.

„Żeby to wszystko (jednak) zrozumieć, trzeba było być partyzantem Puszczy Nalibockiej i przeżyć to wszystko, co przeżywała miejscowa ludność (...). Zrozumieć to wszystko trzeba,

zrozumieć tamta
beznadziejną sytuację walki, będąc ze wszystkich stron obleżonym".

Omawiając wydarzenia związane z tragedią w Puszczy Nalibockiej, należałoby postawić pytanie o inspiratorów wrogiego nastawienia oddziałów radzieckich do polskiej partyzantki. Nie był to przecież przypadek odosobniony. Już w sierpniu 1943 roku w sąsiednim, wileńskim Okręgu AK, został rozbrojony i częściowo wybity przez Rosjan oddział dowodzony przez Antoniego Burzyskiego - „Kmicica”.

Nie ulega wątpliwości, że te akty przemocy były uzgodnione z wyższymi instalacjami. Świadczy o tym uchwała KC KP Białorusi z 22 czerwca 1943 roku, „O przedsięwzięciach w zakresie rozwijania ruchu partyzanckiego w zachodnich obwodach Białorusi” i pismo ogólne „O wojskowo - politycznych zadaniach pracy w zachodnich obwodach Białorusi”. To ostatnie w punkcie czwartym głosiło: „wszystkimi sposobami (należy) zwalczać oddziały i grupy nacjonalistyczne”.

Ponadto, w kilka dni po rozbrojeniu Baonu Stolpeckiego, ppor. Niedzwiecki („Lawina, „Szary”) znalazł przy zabitym radzieckim oficerze sztabowym rozkaz „Do Komendantów i Komisarzy Oddziałów Partyzanckich Brygady im. Stalina”, stanowiący uzupełnienie wcześniejszych ustaleń i odnoszący się do polskiego oddziału w Puszczy Nalibockiej. Nakazywał on m.in. przystąpienie 1 grudnia do „osobistego rozbrajania wszystkich polskich legionistów”, których miano następnie dostarczyć do obozu Milaszewskiego w rejonie wsi Niestorowicze. W razie oporu ze strony rozbrajanych Polaków zalecano rozstrzelanie na miejscu. Dokument podpisali: plk Gulewicz (Komendant Brygady im. Stalina), pplk Muranow (Komisarz Brygady), pplk Karpow (Naczelnik Sztabu Brygady).

Przytoczone przykłady są tylko drobnym fragmentem pełnych nieufności i konfliktów stosunków polsko-radzieckich na północno-wschodnich kresach w czasie wojny. Zresztą również po przetoczeniu się frontu przez Wilenszczyznę i Nowogrodzczyznę latem 1944r., walki trwały nadal. Te z oddziałów Akowskich, które nie dały się internować, nadal stawiały opór, tym razem regularnemu żołnierzowi radzieckiemu. W jednej z takich potyczek, pod Surkontami, zginął słynny Maciej Kalenkiewicz, cichociemny, oficer wielkich nadziei, wraz z 36 podkomendnymi.

Tak oto wygasła niewypowiedziana, mała wojna polsko-radziecka. Chronologicznie trzecia w przeciągu 25 lat.

„Katolik”, nr 47, 25 listopada 1990

JAS NIE DOCZEKAŁ - DOWODCE ZWM TRAFIŁO ŚMIERTELNIE PO DWUGODZINNYCH DELIBERACJACH (fragmenty sprawozdania prasowego)

„Dyrektor Ryszard Sakowski z Zespołu Szkół Ekonomicznych im. Janka Krasickiego w zagajeniu przedstawił m.in. historyka Dariusza Ratajczaka. - Pan magister - powiedział - pomoże nam w wyborze kandydatur na nowego patrona.

W ten sposób losy dotychczasowego były już właściwie przesadzone. Zamysł był taki, że do Opola na sesję PATRON SZKOŁY JAKO WZORZEC PATRIOTYCZNO - MORALNY

przyjada przedstawiciele wszystkich placówek z województwa, które łączy imię nie tak dawno jeszcze drogiego bohatera II wojny. Frekwencja zawiodła. Oprócz uczniów Zespołu Szkół w Kedzierzynie z gości nie zjawili się nikt. Inni dyrektorzy najwidoczniej kłopotliwy balast postanowili wyrzucić bez halasu.

Proces nadawania szkołom imion w Polsce Ludowej był dość sformalizowany - stwierdziła mgr Anna Szelka - Bywało - podkreśliła Szelka - że patrona narzucały szkołom władze, żeby był po linii i na bazie, czyli właściwej proveniencji. Szczególnym wzięciem cieszyć się zaczęli bohaterowie walk z imperializmem, przeciw burżuazyjnym krwiopijcom i zgnilemu drobnomieszczanstwu, co zdaje się na jedno wychodzi. (...)

Taki patron, zauważyła referentka - z naukowego punktu widzenia nie spełnił wyznaczonej mu roli. Na podstawie doświadczeń szkół pracujących z patronem, stwierdzić można, że właściwy wybór zwiększa szanse pomysłniejszej pracy i wyników.

To samo tylko krocej powiedział uczniom dyrektor Sakowski.

Godzina Janka Krasickiego wybiła gdy do mikrofonu podszedł historyk Dariusz Ratajczak. Strzał pierwszy - współpraca z KPP, partia która pragnęła bardzo by Polska znalazła się w gronie narodów radzieckich, na co są dowody. Działacze KPP - przypominał Ratajczak - na VI Zjeździe w listopadzie 1932 roku, na 3 miesiące przed dojściem Hitlera do władzy, podjęli uchwałę o obronie Górnego Śląska przed polskim imperializmem i wezwali do walki z uciskiem narodowym ludności niemieckiej.

Strzał drugi - bliskie kontakty Janka Krasickiego z antypolskim renegatami. Strzał trzeci - nadłożkiem studenta Krasickiego wisiał w akademiku nikt inny tylko najbliższy wzór - Feliks Edmundowicz Dierzynski, znany szerzej pod ksywą krwawy Feliks oraz z tego, że lubił dzieci. Strzał czwarty - Krasicki w pełni aprobował fakt okupacji części Polski przez ZSRR, w okupowanym Lwowie doszedł nawet do godności miejskiego wiceprzewodniczącego Komsomolu, organizacji przeciw niepolskiej.

Strzał piąty - Krasicki zastrzelił Molojca, zaraz po tym jak Molojec zastrzelił Marcelego Nowotkę. Pierwszego KC PPR.

Dzisiaj wiadomo, że Molojec się pomylił. Myślał, że kończy agenta gestapo, a Nowotkę wykonywał tylko polecenia Moskwy żeby denuncjować konkurencję, czyli AK i ich londyńskich popleczników.

Seria okazała się dla Janka śmiertelna.

Tylko ksiądz katecheta, Krystian Szteliga okazał Jankowi litość. - Skończyłem w Zabrze produkujące liceum imienia Włodzimierza Ilicza Lenina i zapewniam - patron nie miał na mnie żadnego wpływu.

Przy okazji ksiądz wyraził obawę czy nowy, wiarygodny patron nie przyczynił się do budowania w szkole albo muzeum, albo kapliczki (...)

Imię jego (Krasickiego - DR) zawieszono, a o woli uczniów i grona powiadomiona zostanie Warszawa. Wbrew sugestii księdza odbędzie się w Zespole Szkół Ekonomicznych referendum w sprawie nowych kandydatów.

Historyk Dariusz Ratajczak zasugerował na marginesie, że teraz przydałaby się sesja poświęcona szkołom imienia Marcelego Nowotki.

Jedna z dziewczyn na korytarzu zauważyła przytomnie: - Może ten Krasicki czuł się bolszewikiem, nienawidził Polski szczerze, i gdyby żył, już samo nadanie jego imienia polskiej szkole odebrałby jako obrazę?

Nie ulega wątpliwości, że to ludzie wyciągnęli truchło z grobu i postawili na piedestale, a następnie je stamtąd zrzucili. Jeżeli w Zespole Szkół Ekonomicznych odbywał się przeciwko komus proces, był to proces przeciwko nim samym.

Ryszard Rudnik „TO”, nr 279, 30 listopada 1990

Powyzsze sprawozdanie, rzetelnie zreszta napisane, wymaga pewnego rozwinięcia.

Rzeczywiście opolski „ekonomiak” utracił patrona i z tego co wiem do dnia dzisiejszego nie ma zadnego. Może to i dobrze. Natomiast duch Krasickiego, co prawda szczerze, przetrwał w przesławnym grodzie nad Odrą. Trudno pogodzić się z decyzją o pozostawieniu nazwy ZWM dla największej dzielnicy Opola. Tym bardziej, że ogarnia ona cały gaszcz ulic i uliczek poświęconych autentycznym bohaterom Polski Walczącej.

Mikolajczyk, Bytnar, Sosnkowski, Hubal - przewracają się w grobach. Potraktowano ich jako dodatek do malej, sponsorowanej przez Kreml organizacyjki. A może ojcowie miasta uważają, że AK była częścią ZWM? W końcu nie każdy interesuje się historią.

Przeraza również fakt, że ta absurdalna kohabitacja w ogóle nie przeszkadza mieszkańcom osiedla (zakładam, że mieszkają tam nie tylko byli utrwalacze władzy ludowej). Ludzie nie znają historii, karleja, na niczym im nie zależy.

Widmo umysłowej impotencji krąży nad Opolem.

ALKAZAR 1936

(z dziejów hiszpańskiej wojny domowej)

Rebelia wojskowa w lipcu 1936 roku w Hiszpanii, skierowana przeciwko władzom republikanckim zakończyła się tylko częściowym powodzeniem. Kilka dni po jej wybuchu można już było wyznaczyć linię oddzielającą obszary, gdzie wojskowi zwyciężyli, od tych, gdzie władze republikanckie nie dały się zaskoczyć.

Generalnie, spiskowcom udało się opanować północno-zachodnią część kraju, wszelako bez uprzemysłowionych prowincji baskijskich (Vizcaya i Guipuzcoa) i Asturii. Na południu nacjonalisci kontrolowali północną część Maroka, Wyspy Kanaryjskie, Baleary (z wyjątkiem Minorki). Jeśli chodzi o kolonie hiszpańskie, to wypadki rozgrywały się tam z pewnym opóźnieniem w stosunku do metropolii, ale ostatecznie Gwinea, Fernando Po, Ifni i Villa Cisneros - terytorium w zachodniej Afryce z dostępem do Atlantyku - zostały opanowane przez nacjonalistów.

Oprócz tego wojskowi zdolali utrzymać swoje pozycje w enklawach otoczonych terytorium republikanckim. Na północy kraju było to Oviedo, na południu, w Adaluji: Sewilla,

Kordoba, Granada oraz sasiadujące przez Cieśninę Gibraltarską z północnym Marokiem terytorium między Kadyksem a Algeciras.

Nie te jednak miejsca przykły uwagę całej Hiszpanii w pierwszych miesiącach wojny domowej, a mała, wręcz mikroskopijny punkt oporu nacjonalistów na wroгим terytorium - toledański Alkazar. Jego obrona, nosząca znamiona prawdziwego bohaterstwa, stała się symbolem dla wszystkich, przecież licznych, zwolenników przewrotu.

W Toledo, starej stolicy Kastylii, rebelia nie udała się. Wykorzystując przewagę liczebną, siły republikańskie zepchnęły spiskowców dowodzonych przez pułkownika Jose Ituarte Moscardo na mały obszar obejmujący Alkazar - pół fortece, pół pałac - położony na wzgórzu górującym nad miastem i Tagiem (w Hiszpanii terminem Alkazar określa się warowną rezydencję reprezentacyjną wywodzącą się z tradycji architektonicznych islamu).

Ostatecznie Moscardo zabarykadował się w twierdzy wraz z 1300 ludźmi, wśród których byli członkowie Gwardii Cywilnej (800), oficerowie (100), falangisci i inni prawiwojownicy (200) oraz kadeci z miejscowej Akademii Piechoty (190). Ponadto w Alkazarze przebywało również 550 kobiet i 50 dzieci, a także pewna ilość zakładników, między innymi cywilny gubernator z całą rodziną i lewicowi politycy.

Pierwszą „pokojową” próbę poddania twierdzy przedsięwziął dowódca milicji republikańskiej w

Toledo - Candido Cabello. W dniu 23.07.1936r. zatelefonował on do płk Moscardo by zawiadomić go, że jeśli nie podda Alkazaru w ciągu 10 minut, to jego syn-Luis, będący w niewoli republikańskiej, zostanie rozstrzelany. Żeby stwierdzić czy to prawda, przemówił do pana - dodał. Poproszony do telefonu Luis Moscardo wypowiedział tylko jedno słowo: „Papa”.

„Co się dzieje, mój chłopczyku?” - zapytał ojciec.

„Nic” - odpowiedział na razie zgodnie z prawdą syn - oni mówią, że zastrzela mnie, jeśli Alkazar nie podda się”.

„Jeżeli to prawda - odrzekł pułkownik - powierz swoją duszę Bogu, krzyknij Viva Espana i umrzyj jak bohater. Żegnaj mój synu”.

Luis Moscardo został rozstrzelany miesiąc później, a okrutny los nie oszczędził i drugiego syna pułkownika, który zginął w Barcelonie.

Przez cały sierpień obie strony, oblegający i oblegani, prowadziły zżarte pojedynki karabinowe, kończące się niezmiennie wygraną dobrze wyszkolonych, uzbrojonych (zapasy amunicji obrońcy uzyskali z sąsiedniej fabryki broni) a nade wszystko zdeterminowanych nacjonalistów. Republikanie mieli jednak przewagę psychologiczną nad przeciwnikiem. Ten bowiem był całkowicie odcięty już nie tylko od swego obszaru pozostającego pod kontrolą zwolenników generała Franco, ale i jakichkolwiek informacji na temat wypadków rozgrywających się w innych częściach Hiszpanii. Obrońcy mogli więc obawiać się, że upragniona odsiecz nie nadejdzie. Z drugiej strony ludzie Moscardo uświadamiali sobie, że nie ma dla nich alternatywy - zresztą rozszczęceni oporem milicjanci dawali im pewne wyobrażenie o ich losie po ewentualnym poddaniu twierdzy.

Pomimo bezustannego ostrzału i ciężkiej sytuacji żywnościowej, obrońcy zachowywali godny podkreślenia spokój. Dla podtrzymania ducha walki urządzano uroczyste parady, a w podziemiach Alkazaru odpędzano czarne myśli ognistym „flamenco” z kastanietami.

17 sierpnia obleżony garnizon po raz pierwszy - wprawdzie w sposób pośredni - nawiązał kontakt ze światem zewnętrznym. W tym dniu nad twierdza przeleciał frankistowski samolot i zrzucił ulotki zawierające słowa zachęty do dalszej obrony, podpisane przez przywódców przewrotu, Francisco Bahamonde Franco i Emilio Mola.

Godzi się w tym miejscu zauważyć, że na początku wojny domowej nacjonalisci posiadali śmiesznie małą ilość samolotów wojskowych - dla przykładu gen. Franco na południu kraju miał do dyspozycji 3 stare „Breguety”, 1 „Fokkera”, kilka hydroplanów, 2 „Dornier”, „Junkersa” i dwie małe „Savoie”.

9 września przez megafon umieszczony w pobliżu twierdzy oblegający poinformowali obrońców, że major Vincente Rojo, były profesor taktyki w Akademii Piechoty, pragnie odwiedzić Alkazar w celu przekazania propozycji rządu republikańskiego. Ponieważ Rojo był osobście znany płk Moscardo, a także innym oficerom pozostającym w twierdzy, pozwolono mu wejść.

Obie strony na czas wizyty przerwały oczywiście ogień. Rojo, wyrażając stanowisko władz, zaproponował poddanie Alkazaru, w zamian za co gwarantował życie i wolność kobietom i dzieciom pozostającym w twierdzy.

Mniej wesołe wieści miał do przekazania wojskowym - groził im sąd wojenny (w praktyce oznaczało to rozstrzelanie). Moscardo odmówił, choć przy okazji zapytał majora, czy nie byłoby możliwe sprowadzenie do Alkazaru księdza. Rojo przyrzekł przekazać te prośby rządowi i - po rozmowie z oficerami, bezskutecznie blagającym go, by pozostał z nimi - opuścił broniony obszar.

Tymczasem w twierdzy zapasy żywności dramatycznie się wyczerpywały, co dla każdego obrońcy oznaczało zmniejszenie dziennej racji chleba do 180 gramów. Nie zabrakło za to strawy duchowej, gdyż 11 września, niemal po dwóch miesiącach obleżenia, do fortecy przybył ksiądz Vazquez Camarasa, udzielając obrońcom, z braku możliwości indywidualnej spowiedzi, rozgrzeszenia ogólnego. Chwilowe odprezienie związane z przybyciem księdza wykorzystali niektórzy żołnierze do nawiązania słownego kontaktu z oblegającymi. Republikanscy milicjanci - rzadki to wypadek w tej wojnie, która znaczyły raczej przykłady oblednego bestialstwa z obu stron, z przyznaniem wszelako niechlubnej palmy pierwszeństwa lewicy - podarowali obrońcom papierosy i podjęli się przekazać wiadomości ich rodzicom.

Po opuszczeniu twierdzy przez duchownego, republikanie podjęli kolejną próbę złamania oporu nacjonalistów.

Wiedząc, że położenie obrońców jest bardzo ciężkie, po podłożeniu min pod dwie wieże Alkazaru, rozpoczęli 18 września atak. Jedną z owych wież rzeczywiście została wysadzona w powietrze, co umożliwiło milicjantom wdarcie się na dziedziniec, gdzie wywiesili czerwoną flagę. Na szczęście jednak dla obrońców mina podłożona pod wieżę północno-wschodnią nie eksplodowała, niweczając tym samym ostateczny cel przedsięwzięcia.

20 września wieczorem - po wcześniejszej, nieudanej próbie podpalenia Alkazaru - do Toledo przybył Francisco Largo Caballero (przywódca socjalistów hiszpańskich), domagając się zdobycia twierdzy w ciągu 24 godzin.

Dzien pozniej ostateczne decyzje co do losow obroncow zapadaja rowniez po stronie nacjonalistycznej. General Franco decyduje sie na odsiecz, nie majac zreszta poparcia w tym wzgledzie ze strony wszystkich swoich wspolpracownikow.

23 wrzesnia wojska pod dowodztwem generala Iglesiasa Vareli (poszczegolnymi kolumnami dowodzili pulkownicy: Cabanillas i Barron'y Ortiz) od polnocy ruszyly z pomoca obrocom twierdzy. Ci drudzy byli zreszta znowu w powaznych opalach, gdyz oblegajacy podlozyli raz jeszcze mine pod ocalala wieze. Zrobili to na tyle skutecznie, ze ta 25 wrzesnia runela do Tagu. Twierdzy jednak nie zdobyto.

Dzien pozniej sytuacja zaczela sie nieco wyjasniac, bo oto Varela przecial droge laczacą Toledo z Madrytem. Od tego momentu jedynym kierunkiem ucieczki dla powaznie juz zagrozonych republikanow bylo poludnie.

27 wrzesnia, w godzinach rannych, obroncy Alkazaru po raz pierwszy ujrzeli przyjacielskie wojska, gromadzace sie na polnocnych, nieurodzajnych wzniesieniach. W poludnie Varela rozpoczel atak na Toledo, ktory w skutek zalamania sie niezdyscyplinowanej milicji republikanskiej zakonczyl sie pelnym sukcesem; opanowano takze fabryke broni.

Varela wkroczyl do miasta 28 wrzesnia. Jego spotkanie z bohaterem Alkazaru, plk Moscardo, przebieglo w nietypowy sposob. Otoz pulkownik stwierdzil wobec generala, ze nie ma mu nic szczegolnego do zakomunikowania, uzywajac przy tym zwrotu „sin novedad” (nic nowego), ktory sluzyl 17-18 lipca 1936 roku za haslo wojskowym spiskowcom.

Byli obroncy tymczasem, po wyjsci z twierdzy, oprócz docenienia waloru pomocy realnej ze strony przybylych wojsk, nie zapomnieli rowniez o Tej, ktorej „ich zdaniem - zawdzieczali ocalenie. Nawiązując do swego przebywania w czasie oblezenia w piwnicach twierdzy, wznosili modly ku czci „Podziemnej Dziewicy, Naszej Pani Alkazaru”.

„Katolik”, nr 9, 03.03.91r.

ZWARCI - SZYBCY- GOTOWI - BIS

Zalety pana prezydenta Lecha Walesy sa powszechnie znane. Jest to czlowiek skromny (choc absolutnie sam obalil komunizm), precyzyjnie formulujacy swe natchnione mysli, bezkompromisowy w wywiazrywaniu sie z wyborczych obietnic.

Ponadto Lech Walesa pelniac funkcje prezydenta wszystkich Polakow (nie dotyczy to pana Jaroslawa Kaczynskiego, ktorego sejmowe wystapienia ostentacyjnie bojkotowal, no ale - zgodzmy sie - szef PC nie jest Polakiem) dal sie poznac jako maz stanu swiatowego formatu. Jego koncepcje (NATO- bis, pomoc dla Rosji poprzez kraje Europy Srodkowej) zadziwily, zadziwiaja i beda zadziwiac swym chlodnym realizmem i mistrzowskim wrecz przelozeniem teorii na jezyk praktyki.

Bo pan prezydent Walesa jest praktykiem. Praktycznie odwiedzyl sie wspolpracownikom, ktorzy zapewnili mu prezydencki fotel, praktycznie dal nam po 100 milionow (a dorzuci jeszcze po dwie duze banki, tak aby bylo 300), praktycznie jest nowym wcieleniem innego znanego demokracy - Jozefa Pilsudskiego.

Obu panow lacza nie tylko wasy, czasowe miejsce zamieszkania i szczere przywiazanie do monteskuszowskiego trojpodzialu wladzy. Oto bowiem Lech Walesa, wzorem swego mniej uzdolnionego mistrza, stworzyl Bezpartyjny Blok Wspierania Reform.

Idea przyswiecajaca powstaniu obu - przed i powojennego - BBWR-ow byla taka sama: skupic w jednym szeregu przemyslowca, robotnika, chlopa, plebana i na dokladke kogos z mniejszosci narodowych. A wszystko pod sztandarem uzdrowienia zycia politycznego, spolecznego, moralnego, czyli tzw. sanacji (jest to rowniez termin stomatologiczny, patrz: „sanacja jamy ustnej”).

Mysle, ze BBWR - wersja ulepszona (z turbo- doladowaniem) czeka zycie dlugie i szczesliwe. Juz widze te wiece poparcia, ta jednosc narodu skupionego wokol wodza, ba, setek wodzkow, wodzusiow i wodzusiatek. Wszedzie bialo-czerwono, wszedzie gipsowe, marmurowe, zelazne orly w koronie. I te portrety w gminnych siedzibach - duze, grozne, marsowe, ale i rubaszne, takie swojskie, chwytajace za szczere, slowianskie serce.

Niestety czasem przemknie ulica jakis niedomyty „oszolom” lub wraza jaczejka, nie godzaca sie z

radosna rzeczywistoscia. Proszcie sie nie martwic. Wszystko bedzie dobrze.

Nieprzystosowalnosc to wprawdzie grozna, podobnie jak schizofrenia bezobjawowa, choroba, ale uleczalna. Jakis turnusik w miejscu odosobnionym (z obowiazkowym lowieniem ryb w ramach reedukacji), jakies delikatne przetrzepanie skory (w kazdej rodzinie sie zdarza) i po kuracji. A moze sie myle? Moze bezlitosny deszcz zmyje z powierzchni ziemi niekochane dzieci? A niechby i zmyl! Wszak po deszczu czuc OZON.

„TO”, nr 97, 5 lipca 1993r.

Sprawa z BBWR-em byla niepowazna, takoz i zostala przeze mnie potraktowana. Lech Walesa natomiast okazal sie najgorszym rodzajem psuja w obozie kalekiej polskiej prawicy (nawet nie wiem czy takowa w ogole jeszcze istnieje).

Dramatem Polski jest to, ze nie ma ona prawdziwej klasy politycznej przejetej interesami narodu i panstwa (w tej kolejnosci). Rządza nami napuszeni dyletanci bez zadnego zmyslu praktycznego (ekipy solidarnosciowe) lub - wymiennie - cyniczne kanalie z postkomunistycznej koterii - ludzie od ktorych nie kupilbym uzywanego samochodu.

Słowem, mamy do czynienia z uczonymi durniami, złodziejami i meskimi prostytutkami, jakby powiedzial Jozef Pilsudski, niewiele zreszta od nich lepszy.

Ostatni polski polityk z krwi i kosci umarl 1 stycznia 1939 roku. Nazywal sie Roman Dmowski.

EUROPEJCZYK

Opole, 29 lutego 1952 roku. Przed obliczem Wojskowego Sadu Rejonowego stoi mlody, niesmiały mezczyzna. Za chwile przewodniczacy skladu sedziowskiego - kapitan Franciszek Pastuszka, w obecnosci aplikanta - podporucznika Romana Wlodawskiego, prokuratora wojskowego - porucznika Edwarda Langa i obroncy z urzedu - adwokata Franciszka Mrocza, wymierzy mu kare trzech lat pozbawienia wolnosci.

Może się uważać za szczęściarza. Wojskowy sąd w Opolu już nieraz udowodnił, że ma ciężką rękę.

Nazywa się Kazimierz Rudek. Ma 22 lata, ojca alkoholika i dwie przypadłości niegodne obywatela socjalistycznego państwa: wybujała fantazja oraz zamilowanie do podróży. Zwłaszcza przez „żelazną kurtynę”. Ale nie tylko.

Rok 1930. Cholojów, województwo tarnopolskie. Ludwik Rudek, głowa wielodzietnej rodziny, postanawia wyjechać do Francji. Za chlebem, za lepszym. Jego syn, Kazimierz, ma zaledwie kilka miesięcy.

Przyjazd nad Sekwanę niewiele zmienia w życiu rodziny. Stary Rudek pracuje u przygodnych gospodarzy na roli. I pije. Mały Kazik niewiele go obchodzi. A szkoda - chłopiec jest zdolny, dobrze się uczy. Na skutek zaniedbania ze strony rodziców zakończy edukację na sześciu klasach szkoły powszechnej.

Od najmłodszych lat wychowuje go paryska ulica. Żyje z zebraniń i drobnych kradzieży. Wolne chwile umila sobie lekturą powieści kryminalnych i oglądaniem w kinach przygodowo - sensacyjnych filmów amerykańskich. Takich z gangsterami, szpiegami, szeryfami i Indianami. Rozbudzają jego wyobraźnię, nie pozwalają usiedzieć w jednym miejscu.

Praktycznie od siódmego roku życia nie mieszka w rodzinnym domu. Ostatecznie w roku 1939, nakazem władz, zostaje oddany do domu sierot w Paryżu. Dwa lata później jest już w centralnej Francji. Kilkakrotnie ucieka z wychowawczych przytułków, pracuje u gospodarzy. Jeden z nich nawet go adoptuje.

Nie będzie jednak francuskim wiesniakiem. W roku 1944 pojawia się ponownie w Paryżu, gdzie wraz z podobnymi mu łobuzami kradnie, jak to sam określa, „do życia”. Złapany, tula się po sierocincach, by wiosną 1945 nawiać do Marsylii. I właśnie tutaj nadarza się wspaniała okazja wyrwania z Francji: Polski Oboz Żołnierski.

15 - letni Kazik, w końcu Polak, zostaje junakiem w II Korpusie i w tym charakterze wyjeżdża do Włoch. Pracuje w warsztatach lotniczych, ale bardzo krótko. Coś, czego nigdy nie potrafi wytłumaczyć gna go dalej. Jak było do przewidzenia - dezertuje. Robi to bez zału. Pojęcie patriotyzmu jest mu obce.

We Włoszech spotyka transport jeńców radzieckich powracających do kraju. Zabiera się z nimi do Lwowa. Tak „pod prąd”. Pod Tarnopolem szuka, on Paryżanin, rodzinnego Cholojowa. Kazik szuka Cholojowa, a NKWD jego. Zalicza radziecki areszt, dom sierot i fabrykę tkacką. Ucieka po dwóch tygodniach do Krakowa.

Tu, jesienią 1945 roku, natrafia na francuski pociąg sanitarny. Podaje się za Francuza, sierotę, którego rodzice zgineli w Dachau. Ambasada Francuska w Warszawie załatwia mu wyjazd. Jeszcze w 1945 roku jest we Francji. Ale mistyfikacja się nie udaje. Wychodzi na jaw, że jest Polakiem. Trafia do domu sierot.

Siedem dni później czmycha do Włoch. Do polskiej jednostki wojskowej, z której już raz zdezerterował. Tym razem wytrzymuje sześć miesięcy. Latem 1946 widzimy Kazika w

Belgii, której do tej pory, o dziwo, nie odwiedził.

Włoczege - malolata namierzają szybko Amerykanie i wsadzają na dwa miesiące do więzienia w Antwerpii. Ale potem kierują do służby wartowniczej w Reims. Koszarowym życiem, nawet wygodnym, Rudek gardzi. Zostawia Reims, Amerykanów, francuskie dziwki, i transportem w 1947 roku przybywa do Polski.

Po ucieczce z punktu repatriacyjnego w Dzierżycach (oczywiście nie miał potrzebnych dokumentów) poznaje w Pyskowicach (powiat Gliwice) dziewczynę, której proponuje małżeństwo. Wydaje się być dobrą partią. Rodzice narzeczonej, przesiedleńcy z Kresów, przyjmują go jak własnego syna. Lecz i tu nie zagrzewa długo miejsca. Kradnie niedoszłemu tesciowi rower, spienięża za 4 tysiące złotych i już widzimy go w Ambasadzie Francji w Warszawie.

Tym razem jego „rodacy” są podejrzliwi. Pamiętają przecież chłopca, którego niedawno wysłali do Francji. Ale pozwalają mu zostać, a nawet zarobić. Rudek zostaje ambasadorym tłumaczem. Na trzy tygodnie.

Zadza przygodę zwycięza.

Kradnie pracownikowi ambasady, porucznikowi Henri, rower, pistolet „parabellum” 9mm i jedzie do Szczecina, gdzie - jak słyszał - jest „dużo partyzantów”. A w partyzantce Kazik jeszcze nie był. I nie będzie. Rozczarowany zatrzymuje się u Leona Przybylskiego, właściciela zakładu stolarskiego. We wrześniu 1947 opuszcza go, kradnie - jak to ma w zwyczaju - rower i powraca do Warszawy. Do porucznika Henri.

Francuzi mu wybaczą. Ale gdy kilka tygodni później znowu kradnie i ucieka - mają go stanowczo dosyć. Jako obywatel francuski zostaje w kajdankach odesłany do Strasburga.. Z błogosławieństwem Milicji Obywatelskiej.

Ucieka przez Reims i Lille do Belgii. Ma pecha. Belgowie przekazują go żandarmerii polskiej. Nawet nie wie, że II Korpus rozesłał za nim listy gonne. Przecież jest dezertorem. Zapada decyzja: odesłać Rudka do Anglii, tam nauczymy go karności.

W końcu, jesienią 1947, pod eskortą odpływa na Wyspy, konkretnie do Hereford w Walii, gdzie mieści się oboz polskich junaków. Wykpiwa się dwutygodniowym aresztem i trafia do obozu cywilnego. Potem włoczy się po całej Anglii, kradnie i odpoczywa u swej przyjaciółki. Wreszcie postanawia wrócić do Belgii. Sprytni urzędnicy belgijscy zadają mu jednak kilka pytań w języku flamandzkim i Rudek jest ugotowany. Zegnaj Belgio, witaj Francjo.

W Lille młodzieniec pierwsze swe kroki kieruje do biura werbunkowego Legii Cudzoziemskiej. To coś dla niego. Niestety, jest raczej chuderlakiem - nie przyjmują go. Wielka szkoda. Zaoszczędziłby kłopotu policji kilku dużych krajów europejskich. A tak, latem 1948, zgłasza się na wyjazd do Polski.

Przez chwilę pomieszkuje w Poznaniu. Nawet wstępuje do PPR. Co więcej: w 1949r zostaje zastępcą komendanta ORMO w Kluczborku.

Dobra passa nie trwa jednak długo. Kradnie płaszcz i tysiąc złotych. Po sześciu miesiącach więzienia załatwia sobie pracę u Józefa Bednarczyka w Wilczkowicach, powiat Miechów. Gospodarz płaci mu mało, Rudek pisze więc na kawalku papieru odezwę do okolicznych chłopów, by nie wstępował do spółdzielni produkcyjnych. Taki szantaz. Dasz więcej

pieniędzy, nie powiem władzom, że kazales mi sporzadzic ulotke. Nie przypuszcza, że za ten drobny incydent (i tylko ten) zaplaci trzyletnim wyrokiem.

W maju 1950 opuszcza gospodarza na zawsze. Chce jechac do Rosji. Tyle niesamowitych opowiesci slyszy o tym kraju. Wyprawe konczy na dworcu kolejowym w Przemyslu. Bosego, obdartego wloczege zatrzymuje milicyjny patrol. Potem wiezienie, badania psychiatryczne w Branicach, wyrok i amnestia pod koniec 1952 roku.

Niczego nie zaluje. Pozostala tylko jedna zadra w sercu, jedno niespelnienie, wieczny bol. Kraj, ktory widzial na kinowym obrazie. Ameryka.

„Trybuna Opolska”, nr 101, 9-11 lipca 1993

WIELKIE PICIE

Alkohol towarzyszył Polakom od dawna. Genezy upijania się w „polskim stylu”, to znaczy na umor,

do utraty przytomności, a nawet życia, należy szukać w wieku XVIII. I od tego czasu ustala się pewna prawidłowość. Im gorzej w kraju, tym więcej alkoholu. A że w Polsce od co najmniej 250 dzieje się -delikatnie mówiąc - niezbyt dobrze, toteż mocne trunki zjednują sobie coraz to nowych admiratorów.

Panowanie królów saskich w Polsce jest jednym wielkim pasmem pijanstwa. Wino, piwo i gorzalka leją się szerokim strumieniem do spragnionych gardel panów braci, mieszczan i chłopów. A wybór jest spory. Z win sprowadza się droga malmazje z Balkanów i Grecji, muszkatel z prowincji tureckich (wino słodkie do ciast), alikant z Hiszpanii, kocyfal, a z Francji wspaniałe pontak, burgund i szampan. Ten ostatni podawano zwykle na koniec uczty - „na stempel”. Do tego dochodzą wina domowej roboty, niezbyt cenione krajowe, tanie włoskie i węgierskie, wreszcie miody, łączące w sobie słodycz z niezbyt wyszukany smakiem drożdży piwnych.

Piwo warzą w Polsce głównie Niemcy. Mamy więc łagodne leszczyńskie, mocno pieniące się brzezinskie, łowickie, co to „chłopom żeby krzywi”, wareckie, „którym Warszawa się żywi”, wielickie, „które gardła słone swa wdzięczna treścią chłodzi”, jezuickie we Lwowie, bilgorajskie, międzyszeckie, gdańskie, dubelbiry, tylzyckie - „łagodne a mocne”, wreszcie grodzkie w Poznaniu i Kaliszu, które z biegiem czasu wypiera w dużej mierze pozostałe, a kto go w domu nie miał, uważany był za kutwe bądź mizeraka. Oprócz tego sprowadzano złocisty trunek z Czech, Anglii (słynne butelkowane portery) i ze Śląska.

Czterech dorosłych piwośy potrafiło beczkę piwa wypić w ciągu 2 godzin. Doszło nawet do tego, że piwo zastąpiło wodę, której przypisywano szkodliwe działanie.

Jednak najbardziej lubianym trunkiem wśród Polaków była wódka, zwana też gorzalka. Wódka pojawiła się w Polsce dopiero w wieku XVI. Początkowo w zamoznych domach nie podawano jej, uważając za trunek pośredni dobry dla „Chamów” pracujących w szlacheckich folwarkach. Nie trwało to jednak długo.

Najpopularniejsza była żytniówka. Swych zwolenników miały wódki przepalane (około 200 gatunków!!!), z których w zależności od przyprawy, otrzymywano anyżówkę, kminkówkę, korzenna, nie mówiąc o takich specjalach, jak watrobiana, „Panny Marii” czy „brat z siostrą”.

Wybredni delektowali się wódkami słodkimi: goździkowka, cytrynowa, cynamonka, persico z pestek brzoskwin i wisniakami. Szczególnym powazaniem cieszyła się znana w całej Europie najdroższa wódka gdańska - krambambula. Nie gardzono też ratafia, goldwasserami, krupniczką.

Wódkę pito w olbrzymich ilościach, głównie kwaterami na wycigi do całkowitej utraty zmysłów. Czasem w czasie uczty zdarzało się, że niezbyt tegi pijak, gdy mu ciągle do gardła gorzalkę wlewano, nie wytrzymał i, nagle gardło puściło i postrzelił jak z sikawki naprzeciw siebie znajdującą się osobę, czasem damę po twarzy i gorsie oblał tym pachnącym spirytusem", ale nikt się tym nie gorszył. Zdarzenie w śmiech obracano.

Miała Rzeczpospolita w tym czasie swych narodowych opojów, cieszących się powszechną estymą. Pierwszym był Janusz, książę Sanguszko z Litwy. Miał on tak mocną głowę, że popiwszy sobie, kazał poprzegac karete i przejechawszy spory szmat drogi, wrócił trzeźwy, by pić dalej. Dorównywał mu kasztelan Borejko, zwany pobożnym pijakiem, bo najczęściej pijał z duchownymi. Wszelako przebijał ich krajczy koronny Adam Malachowski. Ten nieposledni degenerat potrafił duszką wypić kilka pół garcowych kielichów, wypełnionych po brzegi trunkiem.

Dzielnie sekundowali im panowie posłowie zjeżdżający na sejmiki. Parlamentarzyści, radzając nad ważnymi dla państwa sprawami, byli praktycznie cały czas na bani. Od rana pojono ich winem i wódka doprawiana piwem. Tak ululani brali udział w debacie. Po skończonej pracy do północy dochlewali się w garkuchniach, by wreszcie zasnąć sprawiedliwym snem pod stołem, na ulicy, w rynsztoku.

Pili wszyscy: chłopci, mieszczaństwo, szlachta, duchowienstwo. Nawet słynne z umiaru Polki, po trochę się gorzalkę rozpijały, na rozmaite jedzenie, dziwaczki, chimeryczki, nareszcie na pijaczki ogniste wychodziły".

Potem pito mniej. Przyzwyczajenie jednak pozostało. I jest to chyba jedyną stałą cechą w naszym narodowym charakterze.

,Trybuna Opolska", nr 128, 13-15 sierpnia 1993

WERWOLF: MIĘDZY MITEM A HISTORYCZNA PRAWDA

Śląsk Opolski po przejściu frontu w roku 1945 stał się areną kilku co najmniej przeciwstawnych sobie procesów. Z jednej strony na jego terenie instalowały się nowe, polskie władze, ze wschodu i centralnej części kraju napływały tysięczne masy ludzkie szukając możliwości osiedlenia się na stałe lub, szczególnie w przypadku mieszkańców tzw. Czerwonego Zagłębia, „wyszabrowania” poniemieckiego mienia. Z drugiej - Ślązacy, rodzima ludność regionu, doświadczali tragedii związanej z okrutnym, właściwie okupacyjnym traktowaniem ich przez żołnierzy Armii Czerwonej, a później nieufnym przez administrację polską. Śląski krajobraz uzupełniały nadto powroty ludzi ewakuowanych na polecenie władz niemieckich na początku 1945 roku, ukrywający się w lasach dezertery, maruderzy itd.

Ciekawym, ale bardzo stronniczo jak dotąd ocenianym przez polską historiografię zjawiskiem stało się wreszcie powstawanie różnych podziemnych organizacji - tak polskich, jak i niemieckich. Te pierwsze, oczerniane przez lata, ostatecznie na fali ustrojowych zmian w kraju doczekały się sprawiedliwych, rehabilitujących ocen.

Nieco inaczej rzecz się ma z podziemiem niemieckim, walczącym wprawdzie z tym samym przeciwnikiem, ale stawiającym sobie zgoła odmienne cele.

Autorowi - Polakowi trudno się z nimi oczywiście utożsamiać, niemniej jednak jako historyk i człowiek rozumie intencje towarzyszące jego powstaniu. Ale nie o to w tym krótkim artykule chodzi.

Stawiam oto tezę, że problem konspiracji niemieckiej na Śląsku Opolskim został sztucznie rozdmuchany przez komunistyczne władze. „Werwolf”, „Freies Deutschland” i inne organizacje stały się swoistymi straszakami. Przecenianie, wyolbrzymianie i eksponowanie akcji przez nie podejmowanych usprawiedliwiała prowadzenie działań, które uderzały bezpośrednio w Ślązaków, nawet tych, którzy z podziemiem nie mieli nic lub prawie nic wspólnego.

Schemat wyglądał następująco: młodzi chłopcy znajdowali broń (a było jej dużo na polach, w lasach), ktoś formułował hasło: „organizujcie się”. Następnie odbywano spotkania, dyskutowano o obecnej sytuacji politycznej, przyszłych scenariuszach wydarzeń, i nagle wkraczali funkcjonariusze Urzędu Bezpieczeństwa. Grupy rozbijano, przypisując im nierządki czyny, których nie popełniła. Tworzyli ją bowiem - śmiem twierdzić, że takich było najwięcej, chociaż zdarzały się inicjatywy poważniejsze - amatorzy, 15-16-letkowie, u których niewatpliwy patriotyzm i sprzeciw wobec zupełnie nowej rzeczywistości mieszał się z młodzieńczą fantazją, kształtowana chociażby lekturą książek przygodowych.

W sumie więc „impresa” była niezbyt poważna, niemniej jednak w oczach władz, często inspirujących powstanie grupy, zasługiwała na nadanie jej apokaliptycznego wymiaru, tak aby robiące wrażenie słowo: „Werwolf” cementowało naród i nastawiało go jak najgorzej do wszystkiego co niemieckie.

Były i inne przypadki. Oto kilku młodzieńców, czasem byłych żołnierzy Wehrmachtu psychicznie skrzywionych przez wojnę, nie mogąc znaleźć się w nowej sytuacji, podejmowało się czynów niezgodnych w każdym ustroju z prawem. Klusowali, „podprowadzili” komus prosiaka, konia, rower. Słowem - kompletny brak motywu politycznego. Zadaniem Urzędu Bezpieczeństwa było go znaleźć.

Aby nie być głośliwym, postaram się przyporządkować podanym wyżej „modelom” dwa konkretne przykłady.

W maju 1945 roku w Strzegomiu (Striegendorf, obecnie Strzegów), powiat Grodków, Hubert Reimann założył tajną organizację „Werwolf”. Pomysłodawcą miał być niemiecki żołnierz powracający z frontu, który przespawszy w mieszkaniu Reimanna jedną noc, nazajutrz oświadczył mu, że Niemcy mieszkający w powiatach: grodkowskim i niemodlińskim winni gromadzić broń.

Stosunkowo szybko Reimann zwerbował do organizacji 15-17-letnich chłopców, strzegomskich kolegów i znajomych, którzy z dwoma wyjątkami wcześniej nie służyli w wojsku. Działalność grupy, ograniczająca się do spotkań i gromadzenia broni, nie trwała długo. Już 26 stycznia 1946 roku chłopcy zostali zatrzymani przez Powiatowy Urząd Bezpieczeństwa Publicznego w Grodkowie. Podczas rewizji znaleziono u nich m.in. karabin maszynowy, kilkanaście granatów, 1 aparat nadawczy, 1 bebenkowiec, wojskowy aparat telefoniczny, 1 flowert, 2000 sztuk amunicji.

Sad wojskowy w Katowicach uznał, że oskarżeni utworzyli nielegalną organizację, której celem było oderwanie Śląska od Polski, a ponadto nielegalnie przechowywali broń. Kary były bardzo wysokie, od 7 do 10 lat. Wolności nie doczekał Reimann. 13 kwietnia 1946 roku został zastrzelony przez konwojentów w czasie próby ucieczki.

18 października 1946 roku przed obliczem wojskowego Sadu Rejonowego w Katowicach stanęli: Reinhold Klingenberg, Hubert Pietruszka, Jerzy Stiller, Franciszek Kasprzik, Walenty Wodarz, Gerhard Suszczyk, Hubert Mizdziol. Większość pochodziła z Budkowiec i nie ukończyła 20 roku życia. Wszyscy natomiast byli zweryfikowani, to znaczy uznani za Polaków.

Zarzucono im, że od kwietnia do 13 września brali udział w związku terrorystyczno - rabunkowym z bronią w reku. Ich akcje polegały na okradaniu sklepów, zaborze garderoby damskiej i męskiej, rowerów. Przy tym podczas napadów nikt nie zginął.

Kary wymierzone oskarżonym były niewspółmiernie wysokie do dokonanych czynów. Klingenberg, Pietruszka i Stiller zostali skazani na śmierć, pozostali od 5 lat więzienia do dożywocia.

Według mnie mamy tu do czynienia ze zwykłym sądowym morderstwem, uzasadnionym prymitywnym stwierdzeniem, że tego rodzaju „bandy” godzą w nowo osiedlone rodziny repatriantów, dla których ludzie o tym pokroju zapatrywają co oskarżeni - czują nieuzasadnione nienawisc”.

Powyzsza trojke stracono jesienia 1946 roku.

„Schesisches Wochenblatt”, nr 31, 4-10 VIII 1995

„RACJONALIZATORZY” Z SUCHEGO BORU

Śląsk, początek lat pięćdziesiątych. Fabryki, duże i małe, ogarnia szal tzw. socjalistycznego współzawodnictwa pracy. Co raz przyzakładowe gabloty uzupełniają zdjęcia rozesmianych ludzi „wyrabiających” 100, 200, 300 procent normy.

Było ich siedmiu, jak siedmiu wspaniałych, jak siedmiu przeciw Tebom: Paweł Joniec, Piotr Rżany, Franciszek Mueller, Wilhelm Duda, Ewald Feliks, Adolf Gerlich, Tomasz Wiesiołek. Miejscowi, Ślązacy.

Wszyscy pracowali w tartaku w Suchym Borze. Na tyle dobrze, że jeden z nich - doświadczony traktowany Joniec - był nawet wyróżniany przez Ministerstwo Leśnictwa i Przemysłu Drzewnego.

Katastrofa przyszła nagle. 3 czerwca 1952 roku dyrekcja zakładu zwołała na jego terenie zebranie pracowników, na którym - oczywiście spontanicznie - postanowiono podwoić produkcję. W ten sposób nie narzekający bynajmniej na nadmiar wolnego czasu robotnicy musieli uczcić złot młodych przodowników pracy. Znaczący; mieli pracować na gówniarzy.

Jednak tartak dysponował starym, zużytym sprzętem. Rozumieli to naturalnie pracownicy - traktorzy, ich pomocnicy szlifierze, którzy uzależnili wykonanie zadania od wymiany

„felernych” pil. Dyrektor tartaku, Lenarczyk, naciskany w tej sprawie przez Jonca i innych, stwierdził, że jest to niemożliwe.

W tej sytuacji doprowadzeni właściwie do ostateczności robotnicy zaczęli niszczyć stare urządzenia. Naiwnie sadzili, że ta akcja wymusza na zakładowych władzach wprowadzenie nowych, umożliwiających wywiązywanie się z trudnego, nie przez nich w końcu wymyślnego zdania.

Sąd był odmiennego zdania. Uznał, że inspiratorzy (Joniec, Rzany, Mueller) i uczestnicy dramatycznego protestu dopuścili się aktów dywersji i sabotażu, działając przy tym z pozycji „obcych agentur”. Kary były bardzo wysokie: od roku więzienia dla Feliksa do 15 lat dla Jonca.

Najwyższy Sąd Wojskowy w Warszawie na skutek skarg rewizyjnych obrońców skazanych, adwokatów Pietronia, Sobczynskiego i Spisli, powyższy kompromitujący wyrok uchylił.

W wyniku ponownego rozpatrzenia sprawy przez sąd polski kary znacznie obniżono (mniej więcej o połowę), nie doszukując się tym razem w działaniach pracowników tartaku pobudek kontrewolucyjnych.

W ten sposób zwolennicy modernizacji zakładu poszli do więzienia, a dyrekcja, pozbywszy się malkontentów, mogła przyjmować lub obmyślać nowe nierealne zobowiązania i plany.

„Schlesisches Wochenblatt”, nr 35, 1-7 IX 1995

(tekst powyższy ukazał się pod niemieckim tytułem: „Die rationalisierer” aus Derschau)

WSPOLNE KORZENIE

Komunizm i faszyzm - dwie ideologie stanowiące wyraz aberracji umysłowej milionów ludzi XX wieku - tylko pozornie całkowicie się od siebie różnią. Tak naprawdę wywodzą się z jednego, lewicowego pnia.

Uderzająca cecha wspólna komunizmu i faszyzmu jest totalistyczna koncepcja sprawowania władzy. Ogólnie można ją streścić następująco: jedna ideologia, jedna partia, wszechogarniająca propaganda, rozbudowana tajna policja, jeden wódz (lub „wódzus”), obozy koncentracyjne dla politycznych (ideologicznych) przeciwników, podobna symbolika.

Śmiem twierdzić, że ten totalizm jest wytworem wszystkich tych XIX - wiecznych „inżynierów społecznych” w rodzaju Karola Marksa, dla których nienawisć do starego świata, chrześcijaństwa, często własnej rasy (cała ekonomiczna koncepcja Marksa zbudowana została na jego głębokim antysemityzmie, bardzo charakterystycznym dla pewnego typu zasymilowanych Żydów usiłujących zerwać nici łączące ich personalnie ze znienawidzoną przeszłością) stała się odskocznią do próby uszczesliwienia na siłę części ludzkości.

Kwintesencja myślenia lewicowego jest właśnie to pragnienie; pragnienie - dodajmy - realizowane przez ludzi, którzy zazwyczaj wymyślali teorie w zaciszu gabinetów, nie mając praktycznego związku ze społeczną rzeczywistością.

Owo uszczesliwienie na sile bylo wspolna postawa dla komunistow i faszystow. Ich drogi, po pelnych wahania chwilach (np. Mussolini pierwotnie byl marksista, do roku 1914 redaktorem gazety socjalistycznej), rozeszly sie nastepnie w ten sposob, ze jedni (komunisci) przyjeli za norme supremacje okreslonej klasy społecznej, drudzy zas podazyli w kierunku narodowo - rasistowskim. W obu przypadkach praktyczna konsekwencja byla eksterminacja „burzujow” (klasa niechciana), Zydow (rasa bezwartosciowa) i wszelkiego autoramentu elementow nie przystajacych do totalistycznego modelu panstwa. Oczywiscie w warunkach jak najbardziej rewolucyjnych, pozaprawnych, nieludzkich. Bylo to swoiste dziedzictwo rewolucji francuskiej (nie bez przyczyny pisze ja z malej litery; zasadniej chyba byloby uzywac terminu: rewolucja we Francji).

Mamy wiec tutaj do czynienia z zaprogramowanym z zimna krwia i na niespotykana skale ludobojstwem. Faszyzm byl moze w tym wzgledzie (w teorii) bardziej - ze uzyje tego slowa - prostolinijny, komunizm zas antyhumanizm chowal za pieknie brzmiacmi formulkami. Efekt byl jednak ten sam: miliony istnien ludzkich zaglodzonych, powieszonych, rozstrzelanych, zamaznietych w niemieckich lagrach i sowieckich lagrach.

Niemiecki nazizm, brat cokolwiek lagodniejszego, niemal do konca wojny nie szermujacego antysemitkami haslami faszyzmu wloskiego, padl pod ciosami armii wielkich mocarstw w roku 1945. Rzecz ciekawa - do konca wojny Niemcy nie sprzeciwiali sie tej oblednej maszynie wystepku i zbrodni, jaka sprowadzila ich na skraj przepasci. Nie bylo mowy o jakimms masowym ruchu kontrewolucyjnym (nazizm to ideologia na wskros rewolucyjna). Swiadczy to rowniez, niestety, o swoistym „uroku” totalistycznych koncepcji.

Pozostal sowiecki komunizm zdobywajacy nowe kraje, oddzialywujacy na cynicznych, latwowiernych, glupich lub moralnie zwichrowanych intelektualistow ksztaltujacych z czasem społeczna percepcje tego obledu u nas - w Europie Srodkowej - i na Zachodzie. To moze wlasnie oni zadecydowali o tym, ze komunizm prze dlugie lata (na wielu obszarach i wielu glowach do dnia dzisiejszego) zachowal w sensie ideologicznym swa zywnosc.

Bez wglebia sie bowiem w jego anty ludzka, totalitarna, noepoganska istote, stwierdzono: praktyka byla zla (chociaz nie zawsze i nie do konca), zalozenia natomiast - bynajmniej.

Uwazam, ze w przypadku komunizmu, w przeciwienstwie do „zdenazyfikowanego” faszyzmu, mamy do czynienia z bledem zaniechania. Chodzi o to, ze w sposob jasny zlo nie zostalo nazwane zlem. Bo komunizm byl zlem - tak w teorii, jak i praktyce. Mordowal, deprawowal, ograniczal ludzi. W przypadku chociazby naszego kraju jest odpowiedzialny rowniez za cywilizacyjne zapoznienie, ktore wlasnie teraz, kosztem godziwego zycia co najmniej 2 pokolen Polakow (a zycie ma sie jedno), bedziemy musieli nadrabiac.

A jezeli ktos mi powie, ze komunizm to takze nowe szkoly, domy, fabryki, powszechne zatrudnienie- odpowiadam: Hitler zbudowal siec autostrad, zlikwidowal bezrobocie, organizowal tanie wczasowy pracownicy. I umacnial nadodrzańskie waly!

„NTO”, 19.12.1997

PINOCHET - FASZYSTA CZY ZBAWCA

Gdy w 1973 roku siły zbrojne Republiki Chile obalily prezydenta tego kraju Salvadora Allende - swiat zwariowal. „Faszystowski pucz”, „Rzez w Santiago”- krzyczaly naglowki lewicowych (i nie tylko) dziennikow od Moskwy po wschodnie wybrzeze Stanow Zjednoczonych. Wscieklosc opinii publicznej skierowala sie przede wszystkim przeciwko spirytus movens zamachu, generalowi Augusto Pinochetowi. Niemal nikt nie zadal sobie trudu (wielu do dnia dzisiejszego) przestudiowania glownego motywu, ktory pobudzil general do dzialania. A byl on racjonalny: panstwo pod rzedami Allende stawalo sie „druga Kuba”.

Pod jednym przynajmniej wzgledem Chile bylo wyjatkiem wsrod krajow Ameryki Lacinskiej. Przez 150 lat, od chwili uzyskania niepodleglosci, w republice obowiazywaly demokratyczny model sprawowania wladzy.

Nadrzednosc czynnikow cywilnych nad armia byla respektowana przez zainteresowane strony. Oficerowie - w tym i Pinochet, wojskowy intelektualista, specjalista od artylerii, logistyki, geopolityki, wyklawowca Akademii Wojskowej w Santiago - nie mieli ambicji politycznych.

Sytuacja ulegla zmianie, gdy 4 wrzesnia 1970 roku Allende glosami socjalistow, komunistow, radykalow i katolickiej lewicy zwyciezyl w wyborach prezydenckich. Co prawda, uzyskal tylko 36 proc. poparcie, ale glosy prawicy ulegly rozproszeniu.

Prezydent, czlowiek slaby, kryptokomunista, zaczal przekszalcac kraj na modle kubanska. Nawiazywaly serdeczne stosunki z panstwami socjalistycznymi, tolerowal przeplyw broni z Kuby dla lewicowych ekstremistow, przeprowadzil zabojeza dla gospodarki reforme rolna, znacjonalizowal przemysl i banki.

W szybkim czasie Chile stanelo na progu bankructwa. Dramatycznie spadla produkcja, inflacja siegnela 300 proc. rocznie, przed pustymi sklepami ustawialy sie gigantyczne kolejki.

Pinochet - od listopada 1972 r de facto dowodca wojsk ladowych - przez dlugi czas lojalnie stal u boku prezydenta. Poczucie legalizmu bylo u niego silniejsze od instynktowej niecheci do marksistowskich eksperymentow Allende. W czerwcu i sierpniu 1973r zdlawil nawet dwa antyprezydenckie spiski w wojsku.

Impulsem do zmiany postawy generala stala sie uchwalona przez parlament deklaracja, w ktorej wiekszosc poslow prawicowych (w marcu 1973 r. Lewica wyraznie przegrala wybory do ciala ustawodawczego) wyrazilo swoje niezadowolenie z powodu zalamania sie porzadku prawnokonstytucyjnego w panstwie i wezwalo wojsko do wyciagniecia odpowiednich konsekwencji. Niewatpliwie przydawalo to ewentualnemu zamachowi stanu znamion legalnosc.

11 wrzesnia 1973r. Armia opuscila koszary. Allende, poinformowany wczesniej o opanowaniu przez marynarzy portu Valparaiso, schronil sie w palacu prezydenckim „La Moneda” w Santiago. Ukonstytuowana junta wojskowa z Pinochetem na czele zaproponowala mu wprawdzie swobody wyjazd z kraju, ale on wybral walke. Uzbrojony w karabin maszynowy - dar od serdecznego przyjaciela, Fidela Castro, zginal lub popelnil samobojstwo w ostrzeliwanym i ostatecznie zbombardowanym palacu.

Wojskowi triumfowali i nie chodzilo tu bynajmniej tylko o techniczna strone operacji. W koncu opor w skali calego kraju byl raczej slaby. Wazniejsza wydawala sie aprobata dla

działan armii ze strony większości narodu. Chilijczycy bowiem uznali - wbrew temu, co starała się wmówić światu moskiewska propaganda - że Pinochet uratował kraj przed komunizmem. Podobnie uważał zresztą sam generał, który w jednym z wywiadów wyraził taki oto pogląd na temat niebezpieczeństwa knowan marksistów: „Rzeczywistość współczesna pokazuje, że marksizm jest nie tylko doktryna zepsuta. Dzisiaj ponadto jest on agresją na służbie imperializmu sowieckiego. Ta forma nowoczesnej agresji daje sposobność wojny niekonwencjonalnej, w której inwazja terytorium jest zastępowana przez próbę opanowania państwa od wewnątrz”.

Prawda jest, że po zamachu Pinochet twardą ręką wymuszał posłuch. Wielu ludzi musiało opuścić kraj, wielu sadzono w trybie doraźnym, zapadały wcale liczne wyroki śmierci. Były to jednak represje konwencjonalne, bez odcienia totalitarnego- faszystowskiego czy komunistycznego. Wszelkie dyskusje na ten temat generał urywał krótko: „pierwszym obowiązkiem państwa jest obrona samego siebie”.

Zresztą w latach 80., gdy komunizm przestał być zagrożeniem, reżim złagodził represje. W roku 1988 Pinochet w związku z projektem przedłużenia swojej prezydentury, poddał się demokratycznemu osądowi narodu. Uzyskał 43- procentowe poparcie (niezły rezultat jak na „faszystę”, nieprawdaz?), ale większość, być może nieco zmęczona wojskowymi, powiedziała „nie”.

Dyktator podporządkował się tej decyzji, chociaż wcale nie musiał. Dwa lata później Chile powróciło do Demokratyczno - parlamentarnej formy rządów, w której jest miejsce zarówno dla lewicy, jak i Pinocheta.

Myszę, że obiektywnie stary generał może czuć się zadowolony z „dzieła swojego życia”. 25 lat temu uratował kraj przed dyktaturą a la Castro. Jego liberalna polityka wolnorynkowa, wspierana przez Milтона Friedmana, spowodowała fantastyczny wzrost gospodarczy; Chile jest dzisiaj jednym z najbogatszych państw Ameryki Łacińskiej. Takie są fakty, natomiast gładzenie na temat nieludzkiej dyktatury „potwora z Santiago” pozostawiam właściwym gromom. Im to naprawdę wychodzi najlepiej.

„NTO”, nr 32, 7-8 lutego 1998

WOKOL AKCJI LEGALIZACYJNEJ NARODOWYCH SIŁ ZBROJNYCH NA EMIGRACJI

Zamieszkali na Zachodzie żołnierze Narodowych Sił Zbrojnych (NSZ), a dokładnie tej części, która w roku 1944 nie podporządkowała się Armii Krajowej, od wielu lat zabiegali o uznanie ich organizacji za integralny element Polskich Sił Zbrojnych czasu wojny. Dopiero jednak w początkach lat 80., po niemal trzydziestoletnich wysiłkach różnych komisji powoływanych przez kierownicze gremia NSZ, sprawa legalizacji tej wojskowej organizacji wkroczyła w fazę finalną.

Niewątpliwie stosunki pomiędzy kregami dowodczymi AK i NSZ w czasie wojny nie układały się dobrze.

Komenda Główna AK oskarżała NSZ o warcholstwo, działalność rozłamową, a nawet antynarodową.

Dowodztwo NSZ nie pozostawiało dłużne, rozszerzając katalog zarzutów na lekkomyślność i naiwność polityczną AK (chodziło m.in. o akcje: „Wachlarz”, „Burza”, ujawnianie się wobec

Rosjan, Powstanie Warszawskie). W tym ostatnim przypadku nie wahano się użyć ciężkiego słowa: „zbrodnia”. Było to zresztą zgodne z NSZ-owską koncepcją biologicznej ochrony narodu podczas okupacji. Co ciekawsze, ten punkt widzenia podzielał taki strukturalny antynacjonalista jak Józef Mackiewicz.

Zasadniczy spor, uzupełniany sprawami drugorzędowymi, bynajmniej nie zakończył się wraz z ustaniem działań wojennych. Jeszcze w latach 80 na łamach prasy emigracyjnej środowiska AK-owskie i NSZ-owskie udawały swoje racje w licznych i gwałtownych polemikach. Przytoczmy charakterystyczne głosy.

Józef Modrzejewski, uważający się za AK-owca, „na średnim szczeblu dowodzenia” polemizował na łamach „Przeglądu Zachodniego” z tezami dr Z. Wygockiego, będącymi refleksją nad książką Antoniego Bohun - Dąbrowskiego „Byłem dowódcą Brygady Świątokrzyskiej Narodowych Sił Zbrojnych”. Dowodził że NSZ nie była organizacją porównywalną z AK, a poza tym „czy walczyły o Polskę Demokratyczną, to wielki znak zapytania”.

Odpowiedziała mu Nina de Reszke Deryng, kapitan NSZ ze Służby Kobiet, zarzucając AK lewicowość i przefiltrowanie jej szeregów elementem prosowieckim, „co tak łatwo sprowadziło Armię Krajową na manowce działania na korzyść Armii Czerwonej”.

Niemal w tym samym czasie Z.S. Siemaszko, autor głośnej, ale z różnych względów nierównej pracy o Narodowych Siłach Zbrojnych, recenzując książkę Bohun-Dąbrowskiego, zarzucił mu, że jest bardzo oględny, gdy przedstawia okoliczności związane z wymarszem Brygady Świątokrzyskiej z Polski w styczniu 1945 roku.

Siemaszko stawiając pytanie: skąd żołnierze Brygady mieli gazę, ubrania, buty, niedwuznacznie dawał do zrozumienia, iż było to możliwe tylko dzięki pomocy Wehrmachtu. Przy okazji Siemaszko nie pokusił się o porównanie - a byłoby to bardzo ciekawe - owego rzeczywiście tolerowanego przez Niemców przemarszu z podobną operacją dokonaną przez Zgrupowanie Stołpeckie AK por. Adolfa Pilcha („Góry”, „Doliny”) z Nowogrodzyczyny do Puszczy Kampinoskiej w lipcu 1944r.

Wśród kilku głosów polemicznych na uwagę zasługuje wypowiedź J.A. Trelńskiego, który w liście do ministra spraw wojskowych uchodzącego rządu - ppłk dypl. Jerzego Morawicza, stwierdził kategorycznie: „złoto i gazę nie były płacone w NSZ, ubrania, buty - każdy posiadał własne, względnie zdobyczne, broń była własna, pozostałość z roku 1939, względnie zdobyczna, wyżywienie - często nie jedliśmy, na wozach mieliśmy zapasy”.

Kolejnym punktem konfliktu stał się odmienny stosunek środowisk związanych z NSZ i AK na emigracji do powołanego w kraju Stowarzyszenia Żołnierzy Armii Krajowej (SZ AK). W dniu 6 października 1989r w Sali Malinowej POSK-u w Londynie odbyło się akowskie spotkanie na szczycie. Uczestniczyli w nim: ppłk dypl. Wojciech Borzobohaty (prezes SZAK), płk Michał Mandziara (prezes Koła b. Żołnierzy AK), mjr Franciszek Mischczak (prezes Fundacji AK). Wśród wielu spraw poruszono także możliwość przynależności NSZ do SZAK.

Oferta została jednak zdecydowanie odrzucona. Okazało się, że żołnierze NSZ, a chodzi tu - raz jeszcze podkreślam - o środowisko Brygady Świątokrzyskiej, nie mieli najmniejszego zamiaru egzystować w towarzystwie byłych, względnie obecnych członków ZBOWiDu.

Ludzie ci bowiem ,przebywali (w jednej organizacji-DR) z UB-ekami i utrwalaczami władzy ludowej, i czesto z własnymi oprawcami typu Zarakowskiego i Mieczysława Moczara".

W tym miejscu, nim przystapie do glownego tematu obejmujacego zabiegi skladajace sie na akcje legalizacyjna NSZ na emigracji, nie moze nie wspomniec o kolezenskiej wspolpracy kol zolnierskich obu organizacji na wychodzstwie. Dowodzi ona, ze zwykli zolnierze nierzadko koledzy z lat wojny, zazwyczaj wczesniej dochodza do porozumienia niz ich przesadnie ambitni dowodcy. Przykladem niech bedzie wspolna deklaracja Kola Zolnierzy AK (Oddzial Nowy Jork) i Oddzialu NSZ Brygada Swietokrzyska (Connecticut) uchwalona w amerykanskiej Czestochowie. Czytamy w niej m.in.: „I Zolnierze AK i zolnierze NSZ, w tym zolnierze Brygady Swietokrzyskiej w walce przeciwko okupantowi hitlerowskiemu i okupantowi sowieckiemu obowiazek wobec ojczyzny spelnili. 2. Ofiara krwi na polach wielu walk zwiazala nas braterstwem broni (...) Podtrzymywanie ostracyzmu zastosowanego wobec zolnierzy NSZ, szczegolnie Brygady Swietokrzyskiej, w trzy dziesiatki lat po wojnie, jest krzywda, ktora AK nie przynosi zaszczytu".

Przed omowieniem akcji legalizacji NSZ winnismy sobie postawic dwa podstawowe pytania: kto tak wytrwale torpedowal weryfikowal-legalizacyjne wysilki zolnierzy NSZ? Kto swiadomie przeoczyl fakt, ze celem (zrealizowanym) misji kurierow - Tadeusza Salskiego i Stanislawo Zochowskiego do Prezydenta oraz Naczelnego Wodza, gen. Kazimierza Sosnkowskiego bylo podporzadkowanie NSZ legalnemu Rzadowi RP w Londynie?

Mniej uswiadomiony odbiorca, przez lata przekonany o wspolpracy NSZ z Gestapo i mordowaniu Zydow (w tym miejscu nie moze oprzec sie dygresji: wielu polskich historykow za pewnik uznaje, iz „oddzialy NSZ byly winne smierci wielu Zydow" - w domysle cywilow; wlasciwie nigdy jednak nie przytaczaja konkretnych faktow, co czyni ich stwierdzenia goloslovnymi; mam nieodparte wrazenie, ze jest to mistyfikacja lub natezenie zlej woli - podobne do tego, ktore kazalo niektórym publicystom krajowym oskarzac AK o planowe mordowanie ocalalych Zydow podczas Powstania Warszawskiego), moglby odpowiedziec, ze radykalni narodowcy na pewno nie cieszyli sie sympatia emigracyjnych kol rzadowych, czy tez niepodwazalnych autorytetow wojskowych.

Jest to tylko czesciowa prawda. Juz bowiem w roku 1953 gen Wladyslaw Anders - owczesny Generalny Inspektor Sil Zbrojnych w liscie do dr Gluzinskiego stwierdzil, ze „Uregulowanie kwestii stanu sluzby zolnierzy NSZ bedzie w niedlugim czasie zalatwione (nie zostalo, ale winy generala tu nie ma - DR). Mam nadzieje, ze zniknie wreszcie dotychczasowy niefortunny podzial miedzy zolnierzami, ktorzy bili sie ze wspolnym wrogiem i dla wspolnego celu". Rowniez opinie generalow: Sosnkowskiego i Maczka o NSZ byly bardzo pochlebne.

Ten ostatni powiedzial wprost: „Rozwoj wypadkow Wam (tj. NSZ- DR) przyznal racje. Jestescie dla wielu zywym wyrzutem sumienia - Mieliscie racje - tego Wam nigdy nie wybacza - ,

W tym ostatnim zdaniu generalowi chodzilo oczywiscie o stanowisko wiekszosci wyzszych oficerow AK, nie mogacych pogodzic sie z mysla, ze polityczno-wojskowe kierownictwo NSZ nie mylilo sie, uwazajac a priori Rosjan za okupanta, z ktorym prowadzenie rozmow jest bezsensowne i niebezpieczne. Tym samym mamy odpowiedz na pytanie o inspiratorow antyenezetowskiej nagonki na emigracji.

Powroćmy jednak do lat 80.

Pozna jesienią roku 1980 porucznik Stanisław Jaworski z NSZ spotkał się w Chicago z ówczesnym premierem Rządu RP, Kazimierzem Sabbatem. W czasie rozmowy poruszył kwestię weryfikacji NSZ oraz zadośćuczynienia za strony rządu za krzywdy wyrządzone żołnierzom NSZ na emigracji. Premier odniósł się przychylnie do wywodów porucznika i zalecił mu napisanie listu w tej sprawie do ministra spraw wojskowych, płk Berka.

Jaworski, mianowany w tym czasie rzecznikiem ds. legalizacji NSZ, sprawę potraktował bardzo poważnie. W swym liście do ministra stwierdził jednoznacznie, iż NSZ należy uznać za część składową Polskich Sił Zbrojnych. Odpowiedzi wszelako nie otrzymał.

Na szczęście cywilny przedstawiciel rządu w osobie samego premiera Sabbata okazał się dużo bardziej uprzejmy.

Oto w lipcu 1984r przedstawił por. Jaworskiemu proponowane oświadczenie Rządu RP w sprawie b. Żołnierzy NSZ. Wprawdzie pierwsza jego część odmawiała uznania dla NSZ jako części PSZ, ale w końcowej partii rząd przyznawał, że żołnierze tej organizacji brali udział w czynnym oporze przeciw najeźdźcom.

Środowisku NSZ na emigracji takie ujęcie sprawy już nie wystarczało, dlatego też rok później rząd przedstawił zmodyfikowany projekt Zarządzenia Prezydenta RP (był nim wtedy Edward Raczyński), w którym przyznawano żołnierzom NSZ uprawnienia przysługujące żołnierzom PSZ.

Wydawałoby się więc, że sprawa legalizacji NSZ zmierza do szczęśliwego zakończenia. Tymczasem do kontrakcji przystąpiły emigracyjne gremia AK, które w osobach mjr F. Miszczaka i płk M. Mandziary wymogły na Prezydencie odwołanie przedstawionego powyżej projektu. Złowrobnymi słowami kolegi por. Jaworskiego: „Staszku, AK nie przeskoczysz” zdawały się mieć potwierdzenie w faktach.

Ale i ta przeszkoda niestrudzony Jaworski, *spiritus movens* akcji legalizacyjnej NSZ, w końcu pokonał.

Zdając sobie sprawę, że wiele, jeżeli nie wszystko, zależy teraz od AK, zorganizował w maju 1987r. w Chicago spotkanie z Miszczakiem, w którym udział wzięły i inne osoby zainteresowane legalizacją NSZ (m.in. mgr Stefan Marcinkowski z ramienia NSZ, Kazimierz Lukomski z Kongresu Polonii Amerykańskiej, dr Jan Morelewski z AK).

Rozmowa toczyła się wprawdzie w dość chłodnej atmosferze, niemniej obie strony (termin to raczej umowny, gdyż np. Morelewski z AK popierał postulaty NSZ) wyjaśniły sobie pewne sprawy z lat wojny, o które toczono w przeszłości długie, a po części jałowe spory.

Ostatecznie wysiłki por. Jaworskiego, jego kolegów i przełożonych, doprowadziły do wydania z datą 1 stycznia 1988r. przez Prezydenta RP - Kazimierza Sabbata Dekretu o Żołnierzach NSZ. Sabbat, która już wcześniej dał się poznać jako elastyczny i przychylnie nastawiony do NSZ polityk, uznał, że „Żołnierze tej części Narodowych Sił Zbrojnych, która ze względu na stanowisko jej czynników kierowniczych, nie została scalona z Polskimi Siłami Zbrojnymi - Armią Krajową i którzy brali udział w walkach z okupantami w latach 1939-1945, spełnili swój obowiązek narodowy i żołnierski wobec Rzeczypospolitej Polskiej”.

Wprawdzie dekret został niejednoznacznie przyjęty przez żołnierzy Brygady Świętokrzyskiej, uważali bowiem, że zostali potraktowani jako swoista „doczepka” do PSZ, niemniej jednak stanowi dowód, że realistyczna ocena wkładu NSZ w walkę z okupantami zaczęła na emigracji przeważać nad emocjami.

Fakt ten ma znacznie już nie tylko moralne, ale i historyczne. W końcu NSZ nie były organizacją marginalną. Jej szeregi w czasie wojny szacuje się na około 70-75 tysięcy żołnierzy, co stawia ją na drugim miejscu po Armii Krajowej (oczywiście przy założeniu, że Bataliony Chłopskie jako całość operacyjnie były podporządkowane AK), a zdecydowanie przed Armią Ludową. W szeregach NSZ walczyli młodzi ludzie o różnych przekonaniach politycznych. Wprawdzie przeważali szeroko pojęci narodowcy, ale zdarzali się również socjaliści, Żydzi, byli jenci rosyjscy, a w końcowej fazie wojny nawet szeregowi żołnierze Armii Ludowej i dezercerzy-„berlingowcy” (niektórzy z nich opuścili Polskę wraz z Brygadą Świętokrzyską). Wreszcie - last but not least - polityczne kierownictwo NSZ jako pierwsze w warunkach okupacyjnych wystąpiło z postulatem oparcia zachodniej granicy Polski o linię Odry i Nysy Łużyckiej. Dobrze o tym wspomnieć w mieście i w regionie gdzie nie ma ulicy, placu czy posledniego skweru poświęconego Narodowym Siłom Zbrojnym.

Referat wygłoszony w roku 1998 na sesji poświęconej polskiej emigracji w związku z przyznaniem tytułu doktora „Honoris Causa” przez opolską Alma Mater Prezydentowi R.P. na Uchodźstwie- Ryszardowi Kaczorowskiemu.

KONIEC ŚWIATA AFRYKANERÓW?

Teza jest prowokująca i ultrarassistowska: to biali stworzyli potęgę Południowej Afryki, to oni są gospodarzami terenów na północ od Cape of Good Hope.

Początkiem osadnictwa białych na krancach Afryki stało się pojawienie trzech statków holenderskiej Kompanii Wschodnioindyjskiej w połowie wieku XVII. Odtąd biali, uzupełniani przez dopływ chłopów z Holandii, Niemiec, a od czasu odwołania przez Ludwika XIV edyktu nantejskiego - także francuskich hugenotów, byli, są i może nadal będą w swojej ojczyźnie.

Burowie, potomkowie pierwszych osadników, po wojnie burskiej znani szerzej jako Afrykanerzy, nie są zwykłymi europejskimi uzurpatorami, nie są kolonialną elitą, jaką Afrykę oferowali Anglicy w Kenii, czy Francuzi w Senegal. Afrykanerzy, a także biali pochodzenia brytyjskiego, mieszkający na południe od Kalahari od niemal 200 lat, są białym narodem afrykańskim. Żyją na swoim i w razie perturbacji nie mają właściwie dokąd wrócić. Czy wyobrazamy sobie emigrację Afrykanerów do Holandii, po 350 latach rozłąki. Czyści absurd! Coż mieliby tam robić. Zakładać farmy na polderach, czyścić obszczurzony Amsterdam?

Przede wszystkim to właśnie oni jako pierwsi odkryli walory południa kontynentu. Pojawili się właściwie na terenach niczyich, zamieszkałych przez nielicznych Hotentotów i grupki Buszmenów, których trudno uważać za Murzynów. Ludy Bantu, z których składa się dzisiaj czarna ludność RPA (Zulusi, Khosa, Ndebele itd.) to przybysze późniejsi, ekspandujący z północy. Ma to moim zdaniem kapitalne znaczenie, bo gdzie zostało zapisane, że Afryka przynależy rasie czarnej? Nasi postępowcy z obrzydzeniem odnoszą się do hasel nacjonalistycznych, typu Francja dla Francuzów, ale wykopanie białych z RPA traktują jako coś naturalnego.

Jeszcze nie teraz, jeszcze są potrzebni fachowcy, jeszcze żyją laureaci Pokojowej Nagrody Nobla: de Klerk i Mandela. A później pojawi się niezrównowazona Winnie Mandela, albo jakiś inny były terrorysta, urodzony w tragicznym Soweto, a obecnie mieszkający w prestiżowej dzielnicy, i wrzuci białych do morza. „One settler- one bullet” (jeden kolonista- jedna kulka), jak to mawiali towarzysze z Kongresu Panafrykańskiego, teraz podobno ucywilizowani.

Bynajmniej nie jestem zwolennikiem polityki apartheidu, idei segregacji rasowej stworzonej w uczonych głowach profesorów z uniwersytetów w Stellenbosch i Witwatersrand, a konsekwentnie wprowadzanej w życie od końca lat 40- tych naszego wieku.

Należałoby sobie jednak postawić pytanie, czy ta próba ochrony europejskiego dziedzictwa w południowej Afryce, przy zachowaniu poszanowania dla psychicznej, kulturowej i cywilizacyjnej odrębności ludności czarnej, naprawdę wyszła tym ostatnim tylko na złe?.

Prawa człowieka to rzecz arcyważna, ale właśnie w czarnej Afryce podstawowe prawo do życia było i jest często łamane. Czarni Afrykanie głodowali i głodują. Tymczasem rasistowski rząd RPA zapewniał swoim czarnym obywatelom znośne warunki bytu, o niebo lepsze od takich „postępowych” państw jak Angola, Mozambik, Zimbabwe (od uzyskania przez ten ostatni niepodległości; ściślej - drugiej niepodległości, pierwszą zapewnił białej mniejszości Ian Smith). Pomijam już tutaj z łaski przykład bantustanu Bophuthatswana z bajecznym Sun City (wybory Miss Word), aby nie drażnić powracających do Europy Polaków.

Prawa polityczne? Wolne żarty. A jakie to prawa polityczne zapewniał Ugandyjczykom Idi Amin, cesarz Bokassa, mozambijscy marksisci, Mobutu Sese Seko?!

Mordy? Służby specjalne RPA przede wszystkim tropiły marksistowskich terrorystów wysadzających w powietrze lokale rozrywkowe lub rzucających płonące opony na czarnych współziomków o niesłusznych poglądach. Była to walka nierzadko z obcą infiltracją (sowiecka, chińska, libijska) suwerennego państwa. Walka toczona w interesie białych, ale i wielu Kolorodów (afrykańskich Mulatów), Azjatów i czarnych. Policja RPA otwierała ogień do manifestantów, mordowała czarnych bojowników, pamiętajmy jednak, że w dobie apartheidu najwięcej ludzi zginęło podczas walk czarnych z czarnymi, a represje policyjne w południowej Afryce wyglądają na całkiem konwencjonalne w porównaniu z sytuacją w różnych okresach w więcej niż tuzinie krajów kontynentu przyszłości.

Apartheid, nie bardziej obrzydliwy od czarnego, prymitywnego totalizmu, przetrwał. Pozostaje więc kwestia, co zrobić z białą, blisko 5 milionową mniejszością w RPA.

Koncepcja lansowana przez lekkoduchów głosi, że powstanie tolerancyjne społeczeństwo wielorasowe, takie Stany Zjednoczone a rebours. Nie rozwijając tematu - śmiem w to wątpić. Chociażby dlatego, że kraj ten zamieszkuje wykształcone już narody, które mają własne ambicje i cele.

Sedno problemu polega na tym, iż RPA jest państwem o granicach kolonialnych, w którym nakazano mieszkać tradycyjnym wrogom. Apartheid paradoksalnie łagodził konflikty, ale jego już nie ma. Wyjściem z sytuacji byłaby federacyjna formuła państwa, popierana przez Zulusów i niektórych białych prawników (konflikty w południowej Afryce nie zawsze mają czarno-biały kolor), ale na to nie godzi się - i wie co robi - Afrykański Kongres Narodowy, przewodnia siła polityczna państwa.

Pozostaje byc moze jedynie rozwiazanie w postaci wykrojenia „bialego” panstwa afrykanskiego, Volksstaatu, ktore zapewniloby przetrwanie potomkom Burow. W koncu kazdy narod ma prawo do samostanowienia i obrony swojego swiata wartosci.

Pytanie tylko, czy wsrod defensywnych i nierzadko zrezygnowanych dzisiaj Afrykanerow, przerazonych aktami gwalu ze strony zwyklej holoty, kryjacych sie na farmach lub w izolowanych dzielnicach, znajda sie ludzie na miare Pretoriusa i poprowadza Nowy Wielki Trek. Jezeli tego nie uczynia, za kilkadziesiat lat wielka, afrykanska ksiega bialego czlowieka ostatecznie zamknie sie, a jedyny europejski narod na Czarnym Ladzie bedzie juz tylko wzbudzal zainteresowanie wsrod historykow i jezykoznawcow. Z czasem- archeologow.

KONFLIKT W IRLANDII POLNOCNEJ

Aby zrozumiec jeden z ostatnich klasycznych konfliktow etniczno religijnych w Europie Zachodniej, a takie podloze maja animozje miedzy protestantami i katolikami w Irlandii Polnocnej, czyli w szesciu hrabstwach tworzacych Ulster (trzy pozostale prowincje tworzace ta historyczna kraine znajduja sie w granicach Eire - Republiki Irlandii), nalezy cofnac sie do odleglych dziejow wyznaczajacych poczatek trudnych relacji irlandzko - angielskich.

Normanowie, francuscy ksiazeta o skandynawskim rodowodzie (pobrzmiwajacym juz tylko w germanskich imionach), pojawili sie w Irlandii niewiele pozniej od zwycieskiej bitwy pod Hastings (1066), ktora dala poczatek ich rzadom w Anglii. Oczywiscie, jezeli uznamy, ze sto lat w historii znaczy owo „niewiele”.

Celtycy mieszkancy wyspy, absolutnie nie mogacy miec wobec przybyszy jakichkolwiek kompleksow kulturowo-cywilizacyjnych, poddali ich procesowi asymilacyjnemu (wcześniej postapili w ten sam sposob z Wikingami), co zaowocowalo calym szeregiem rodow normanskich czujacych i myslacych po irlandzku. Wlasciwy, angielski podboj wyspy, noszacy znamiona akcji zorganizowanej, a nawet ludobojczej, rozpoczel sie w polowie wieku XVII wraz z przybyciem na Zielona Wyspe protestanckich wojsk lorda Cromwella.

Najezdzy, gardzacy i nienawidzacy katolickich Irlandczykow, zepchneli ich na nieurodzajne obszary hrabstw Connaught i Clare, a sami rozdzielili miedzy siebie 26 z 32 hrabstw. Dla Irlandczykow, przyrownywanych do dzikusow, czy zwierzat w ludzkiej skorze, mieli tylko jedna propozycje: „Do Connaught albo do piekla”.

Jednoczesnie rozpoczeto akcje kolonizacyjna. Do najblizszego brzegom Brytanii Ulaidh (celtycka nazwa Ulsteru) ciagnely rzesze Szkotow i Anglikow- prezbiterian i anglikanow. Po pewnym czasie polnocna czesc wyspy zmienila swe etniczno-religijne oblicze. Katolicy znalezi sie w mniejszosci.

Wiek XIX w historii Irlandii, polaczonej zreszta u jego poczatku unia realna z Londynem, stal pod znakiem dwoch zjawisk, ktore znacząco wplynely na losy jej katolickich mieszkancow. Pierwszym byl glod wywolany zaraza ziemniaczana, a sztucznie podtrzymywany przez Anglikow. Dla miliona oznaczal on smierć, a dla kilku milionow (glownie katolikow) emigracje do Ameryki Polnocnej. Oblicza sie, ze obecnie w USA zyje okolo 40 milionow ludzi o irlandzkich korzeniach. Irlandczycy w Stanach zajmuja posrednie miejsce miedzy angielsko- skandynawsko-niemiecko-holenderskimi „WASPAMI” (W.A.S.P.), a glownie katolickimi (w tym polskimi) P.I.G.S. (jakby nie patrzec, skrot ten sklada sie w angielski

odpowiednik naszej swini). Irlandzkie lobby w Ameryce to siła znacząca, porównywalna z Żydami i nadal interesująca się starym krajem. To nie tylko klan Kennedych, ale i mocne usytuowanie w siłach porządkowych (policja!), ludzie kultury, świat filmu (jeden z najlepszych aktorów amerykańskich średniego pokolenia, cokolwiek wprawdzie zwichrowany - Mickey Rourke, swego czasu sponsorował Irlandzką Armię Republikańską).

Drugie zjawisko to wzmagająca się walka Irlandczyków o swoje prawa, autonomię wewnętrzną („Home Rule”) i związane z tym odrodzenie celtyckie. Jej finałem stało się nieudane Powstanie Wielkanocne (1916) i wreszcie faktyczne uzyskanie niepodległości w roku 1921.

Niepodległa Irlandia ograniczona została do terenów zamieszkałych przez katolików. Ulster wola protestanckiej większości pozostał przy Wielkiej Brytanii, uzyskując zresztą autonomię z własnym rządem i parlamentem (Stormont). Co ciekawe, protestanci tak naprawdę wcale nie życzyli sobie żadnych preferencji w Zjednoczonym Królestwie. Oni naprawdę są bardziej brytyjscy niż mieszkańcy Londynu czy Manchesteru (nie powiem tego o Liverpoolczykach - w dużej części Irlandczykach). Udowadniali to nie jeden raz na polach bitew, służąc w najlepszych, ochotniczych jednostkach brytyjskich (pobór powszechny w latach wojny ich nie obejmował).

Autonomia posłużyła jednak protestantom do niemal całkowitego wyrzucenia na margines życia politycznego i ekonomicznego mniejszości katolickiej. Nie było to zresztą trudne. W Ulsterze miało długą, 300-letnią tradycję.

Rząd i Stormont były opanowane przez protestantów. W policji, słynnej Royal Ulster Constabulary, katolików niemal nie było (inna rzecz, że się do niej nigdy nie garneli). Biedota katolicka pozbawiona była praw wyborczych-przysługiwało ono właścicielom domów, głównym lokatorom mieszkań i ich żonom- głównie zwyczajowo bogatszym protestantom.

Poza tym w Irlandii Północnej stosowano zasadę wyznaczania okręgów wyborczych w ten sposób, aby na danym terenie o większości katolickiej zmieścić w jednym okręgu możliwie wszystkich papistów, a pozostałym zapewnić przewagę protestantów. W ten sposób w miejscowości Derry 20 tysięcy katolików miało 8 członków rady miejskiej, a 10 tysięcy protestantów-16.

W II połowie lat 60-tych w Ulsterze rodzi się ruch na rzecz sprawiedliwości społecznej. Grupuje on siły rzeczy głównie dyskryminowanych katolików. Są oni nastawieni pokojowo. Nie jest to żadna irredenta, a walka o prawa w ramach prawa.

5 października 1968 roku w Derry (protestanci mówią: Londonderry) tłum związkowców z Northern Ireland Civil Rights Association został spalony przez protestancką policję. Wieczorem tego samego dnia młodzi katolicy z dzielnicy Bogside wdarli się na tereny zamieszkałe przez protestantów. Na ulicy zbudowano barykady. Konflikt w Ulsterze wszedł w nową, najostrzejszą fazę.

Nastal czas demonów, wyzutyh z człowieczeństwa terrorystów. Uaktywnia się Irlandzka Armia Republikańska, organizacja, która do tej pory prowadziła niemrawą działalność bojową, a w ostatnim czasie ochraniała katolickie demonstracje - także ta w Derry. IRA, podzielona na skrzydło Oficjalne i Tymczasowe (pierwsze było marksistowskie i nie optowało za terrorem), w konspiracji utrzymała dawną terminologię wojskową. Stąd podział

na brygady i bataliony. W rzeczywistości były to małe grupy terrorystyczne nie pozbawione jednak społecznego zaplecza. Trudno porównać IRA do takich organizacji jak np. Frakcja Czerwonej Armii, czy włoskie Czerwone Brygady. Te ostatnie cieszyły się poparciem małych, lewicowych grup intelektualistów, którzy zeszli na drogę mordu. IRA wprawdzie też mordowała, ale w specyficznej sytuacji Ulsteru stawiała się również obronca katolików przed atakami bojówek protestanckich. Stąd jej ograniczone poparcie wśród społeczności katolickiej. Mówiąc prościej: przeciętny Niemiec, czy Włoch zapewne bez wahania wydalby władzom miejscowego terrorystę, natomiast mieszkaniec katolickiego getta The Falls w Belfascie, nawet przeciwny metodom terrorystycznym, nie wydalby chłopaka z sąsiedztwa, który wcześniej stracił brata, zabitego przez protestantów, później wstąpił do IRA, a dwie godziny temu wysadził protestancki pub na równi protestanckiej Shankill Road.

Terrorystyczny festiwal trwał przez niemal 30 lat. IRA atakowała w Ulsterze, w Londynie (jeszcze w roku 1997), na kontynencie. Bojówki protestanckie operowały w mateczniku. Wprowadzenie wojska brytyjskiego do Ulsteru, zawieszenie autonomii, nie uspokoiło sytuacji. Żołnierze brytyjscy, witani przez katolików biskopami i herbata (mieli ich bronić przed protestanckim terrorem), wkrótce sami zaczęli do nich strzelać. Jak to w życiu: ktoś nie wytrzymał, komuś pucyli nerwy. W powietrze wylatywali nawet moi tego świata - np. ostatni wicekról Indii, lord Mountbatten (ceniony na subkontynencie tak przez hindusów, jak i muzułmanów). Cudem śmierci uniknęła Margaret Thatcher (zamach w Brighton) i John Major (słynny zamach na londyńskim Whitehall, gdy terrorysta wystrzelił „Stingera” w kierunku Downing Street w momencie narady rządowej).

Rok 1998 przyniósł Ulsterowi pokój. Czy trwały? Trudno powiedzieć. Jestem umiarkowanym pesymistą. Obie społeczności mają różne, całkowicie przeciwstawne cele. Katolicy, którzy za 20-30 lat będą zapewne stanowić większość społeczeństwa (poprawa warunków życia, większa rozrodzoność, mniejsza emigracja do USA), na pewno upomną się o prawo do zmiany przynależności państwowej Ulsteru. Dla protestantów takie rozwiązanie jest nie do przyjęcia. Nagle bowiem staną się mniejszością (z tendencją do dalszego zmniejszania się) w 4 milionowym „katolickim morzu”. Poza tym społeczności, które śpiewają inne pieśni, mieszkają w hermetycznych dzielnicach, chodzą do innych pubów, mogą szybko zapomnieć o z trudem wynegocjowanym kompromisie. Wystarczy banalny zatarg, niewinna kłótnia. Ulster jest wrażliwy, a nade wszystko zawzięty. I długo pamięta.

TRYUMF DYLETANTA

Polacy kochają dyletantów. Dyletant w moim przekonaniu to człowiek, który zarozumiałstwem i chamstwem stara się pokryć własny, często elementarny brak wiedzy. Nie musi to być tylko pojedyncza kreatura, ale i całe środowisko. Weźmy dla przykładu Józefa Piłsudskiego i jego przydupasów tworzących oboz tzw. sanacji. Tych bohaterów niezliczonych dzisiaj publikacji, pasujących ich na mądrych, przewidujących, a tylko na skutek nieprzyjajnych okoliczności zewnętrznych- tragicznych ludzi.

Jak wiemy Piłsudski stworzył legiony, później kluczył, wahał, szukał szansy dla Polski, by następnie przywrócić jej państwowy byt. To pierwszy, w ogromnym skrocie, element wtłaczanej obecnie do uczniowskich mózgowic legendy.

Tymczasem Polska odzyskała niepodległość na skutek bardzo szczęśliwego zbiegu okoliczności (upadek trzech państw zaborczych, interesy Francji w Europie Środkowej) i

madrego rozgrywania spraw polskiej przez Romana Dmowskiego oraz politykow z szeroko rozumianego obozu prawicy. Zadne operetkowe imprezy w postaci legionow nie wplywaly na przyszly los Polski. Co wiecej, Pilsudski tak dla Ententy, jak i wiekszosci Polakow byl podczas wojny nikim. Dopiero sprytny manewr z „kryzysem przysiegowym” i niemieckie poparcie tuz przed koncem dzialan wojennych pozwolily mu powrocic do Warszawy w glorii meczennika (a meczyl sie w twierdzy magdeburskiej okrutnie) i zbawcy narody. Typowa, hochsztaplerska zagrywka.

Mit drugi: genialny wodz, zwyciezca Bitwy Warszawskiej. Ten genialny wodz, cackajacy sie z bolszewikami w roku 1919 - a wiec wtedy, gdy na froncie byli widmowym przeciwnikiem - snujacy jako polityk beznadziejnie anachroniczne, jagiellonowe koncepcje (w dobie uformowanych, majacych wlasna tozsamosc i wlasne cele narodow), wspomagajacy Ukraincow, ktorzy nie dorosli do zycia w niepodleglym panstwie, otoczony ten geniusz przez wlasne zadufanie i nieuctwo pozwolil prymitywnej, bolszewickiej masie, dowodzonej bynajmniej nie przez wielkich strategow, zbliczyc sie na przedpolu Warszawy. W nastepstwie: zalamanie nerwowe, czasowe opuszczenie walczacych wojsk (nazywamy to dezercja) i zdanie sie na doswiadczenie wojskowego fachowca, generała Rozwadowskiego, planujacego i wzorowo wykonujacego kontr-uderzenie.

Zamach majowy - czyli Polska nierzadem stoi. To typowy, bardzo prymitywny, w stylu Pilsudskiego, chwyt propagandowy. Rzeczpospolita w I polowie lat 20-tych byla wprawdzie panstwem biednym, inaczej byc nie moglo, ale o calkiem sprawnie dzialajacym systemie demokratycznym - nie zmienia tego fakt zamordowania prezydenta, to moze zdarzyc sie wszedzie, nawet w USA - i o rozkrecajacej sie gospodarce (stabilizacja zlotego przez fachowca z obozu prawicy, poczatek budowy gdynskiego portu). Jedynym motywem dzialania marszalka (takie slowo w srodku zdania pisze sie z malej litery) byla chec przejecia wladzy - dla siebie i swojej jeszcze bardziej kurduplowatej sitwy. Udowodnily to az nadto kolejne lata.

Mit ostatni: przedwczesna smierc Pilsudskiego albo: gdyby komendant zyl dluzej. Mysle, ze smierc w maju 1935 roku byla jego finalnym hochsztaplerskim trickiem. Zmarl bezpiecznie na 4 lata przed wybuchem wojny - tej wojny, ktora ostatecznie zlamalaby „dziadkowa” legende. Gdyby zyl, pewnie stalby sie polskim odpowiednikiem marszalka Petain. Chociaz nie, to mimo wszystko za wielkie nazwisko. Bylby polskim Gamelin.

Mialem zamiar napisac jeszcze o nastepcach Pilsudskiego, tych wszystkich pulkownikach, generalach i jednym marszalku. Po namysle - rezygnuje. Nie mozna dotykac lajna. Chocby wybryczesowanego.

GEIBEL I KALKSTEIN

Paul Otto (Otton?) Geibel byl ostatnim dowodca SS i policji dystryktu warszawskiego. To ryzykowne osobiscie stanowisko obejmowal wlasciwie po slawnym nieboszczyku Kutscherze, zastrzelonym przez polskie podziemie 1 lutego 1944r. (pomijam krotkie, miesieczne sprawowanie tej funkcji przez Herberta Boettchera).

W czasie zbierania materialow do pracy doktorskiej, kilka lat temu, bylem swiadkiem ciekawej rozmowy „przy kawie” miedzy dwoma sedziami Sadu Wojewodzkiego w Opolu, z ktorzych jeden w latach 50-tych zetknal sie z Geiblem w wiezieniu w Strzelcach Opolskich.

Były „Der SS und Polizeifuehrer fuer den Distrikt Warschau” był dosyć ponurym człowiekiem, chociaż nie okazywał oznak załamania. Powoływał się na swoją wojenną znajomość z dyrektorem Muzeum Narodowego Stanisławem Lorentzem i zapewniał, że m.in. jego przychylna postawa pozwoliła ocalić polskie dobra kulturalne z powstanczej pozogi (wg sędziego wyznania Lorentza, spisane podczas śledztwa na potrzeby sądu, potwierdzały wynurzenia Geibla i być może przyczyniły się do niewysłania Niemca na szafot).

Geibel „rozwinął” w więzieniu hodowlę jedwabników. Kto był pomysłodawca - trudno określić.

Martwił się bardzo o rodzinę i generalską emeryturę w Niemczech. Załamał się w momencie, gdy sąd w Warszawie nie rozpatrzył jego prosby o darowanie reszty kary.

Podczas transportu do więzienia powiesił się w dworcowej toalecie (prawdopodobnie jeszcze w Warszawie).

Według moich obliczeń zdarzenie miało miejsce na początku lat 60-tych. Sędzia obstawał przy roku 1958. Podczas rozmowy tenże dorzucił również garść informacji na ten temat więziennych losów słynnego denuncjatora gen. Roweckiego-Kalksteina. Otoż Kalkstein uważany był w Strzelcach Opolskich za rodzaj więziennego „guru”. Zorganizował własną służbę wywiadowczą, wyprzedzając poczynania „klawiszy”. Prowadził penitencjarny radiowezel. Sędzia był więcej niż pewny, że to właśnie on napisał konspekt scenariusza do popularnego serialu telewizyjnego „Czarne Chmury”. „Szatansko zdolny i inteligentny człowiek” - dodał.

ANTYKOMUNIZM A WSPÓLCZESNOŚĆ

Mam dla bojowników antykomunizmu dobrą i złą wiadomość. Dobra polega na tym, że komunizm jako idea, a ostatnio praktyczny model sprawowania władzy - padł z kretesem.

Nie ma już najmniejszego sensu udowadnianie, że Marks mylił się, Lenin cierpiał na zanik mózgu, a Stalin był owocem afektu gruzińskiej pomywaczki do konia Przewalskiego.

Oczywiście można jeszcze prowadzić poważne badania naukowe, odkurzać stare i znajdować nowe dokumenty komunistycznej barbarii, czy nie dawać spokoju obecnym piewcom demokracji z SLD. Obraz nie ulegnie jednak zasadniczej zmianie, a ewentualne nowe fakty kazać co najwyżej intensywniej spluwać na samo wspomnienie tej obłędnej, wprowadzonej w życie idei. Tyle pozytywów.

Komunizm był tylko mgnieniem historii - co prawda krwawym i niehumanitarnym. Był i skończył się, ponieważ jego rzeczywisti animatorzy i sponsorzy doszli do wniosku, że walka z zespołem wartości wyrosłych z chrześcijaństwa musi przyjąć formę wysublimowaną, wielopłaszczyznową, atrakcyjną dla nieświadomych mas i pseudointeligenckiej elity.

Walka z tym starym - nowym wrogiem, uzbrojonym w oręż liberalizmu, pozornego braterstwa ludzi, wolności, która stanie się niewolą, przyzwolenia dla najniższych ludzkich instynktów, dysponującym pieniędzmi, mass-mediami i - niestety sporym poparciem społecznym, rozgrywa się od kilku lat i w naszym kraju. Kto tego nie uznaje, kto nie myśli wielowatkowo, a zasklepia się w zmurszałej skorupie antykomunizmu, niczego nie rozumie, żyje w świecie skansenu wypełnionym bolszewickimi jacejkami, NKWD i rodzimą bezpieką.

Co gorsze, ta petryfikacja, totalne skamienienie może z czasem doprowadzić do duchownego upadku, objawiającego się przyjęciem punktu widzenia wroga. Ten bowiem, widząc kompletny brak zagrożenia ze strony tradycyjnych, niereformowalnych antykomunistów, chętnie zagospodaruje ich we własnym obozie. Już dzisiaj niektórzy z nich, nie wiem na ile zdają sobie z tego sprawę, funkcjonują tam na zasadzie listka figowego kryjącego rzeczywiste zamiary szeroko rozumianego „stronnictwa postępu”. Na ile jestem zorientowany - dotyczy to głównie tych, którzy wcześniej antykomunizm umieli połączyć z postawą obojętności lub ledwie skrywanej wrogości do chrześcijaństwa (katolicyzmu) i instytucji Kościoła.

Myslący byłby antykomunista musi przyjąć, że jego obecna walka z demoliberalnym Goliatem, nosząca charakter obronny, a z czasem, gdy pozwoli na to wypracowane środki - zaczepny (ofensywa ideowa, nowa kontrreformacja), winna wspierać się na filarze bezwzględnej wierności nauce Chrystusa. Przyjęcie takiej zasady, odpornej na świat antywartości, określi szerokie pole zasadniczego konfliktu, obejmującego m.in. pusty materializm, seksizm, sekciarstwo, globalizm, libertynski demo-liberalizm, koncepcje człowieka „totalnie wyzwolonego” - czyli wszystko to, co oferują ludzkości deprawatorscy planiści „New Word Order”. (Nowy Porządek Świata)

Poniekąd więc - po nieudanych eksperymentach z komunizmem i faszyzmem - wracamy do XVIII- wiecznego punktu wyjścia: My - albo oni; Chrześcijaństwo - albo neopoganizm; Bóg - Chrystus- albo Szatan podległy mu zniewolony przez fałszywe wyzwolenie człowieka.

Byłoby dobrze, gdyby antykomuniści, o których uczciwości jestem przekonany, dokonali podobnej oceny sytuacji. A spieszyć się trzeba. Przeciwnik rozgrywa finałową partię.

POLITYCZNA POPRAWNOŚĆ

Czym jest polityczna poprawność (political correctness?). Powiedzmy, że jest to zespół poglądów i zachowań, mający własne, rozbudowane słownictwo, odpowiadający lewicowo-liberalnej, postępowej wizji świata i ludzi - czyli takiej, jaką propagują - z dużym, zauważalnym sukcesem - organizacje społeczno-polityczne, media, wreszcie rządy poszczególnych państw Europy Zachodniej, Ameryki Północnej, a ostatnio również tzw. nowe demokracje europejskie.

Ta robocza, na własny użytek stworzona definicja byłaby niepełna, gdyby nie uzupełnić jej konkretnymi postulatami politycznej poprawności. A są to: braterstwo ludzi, nieskrepowany, spontaniczny rozwój jednostki, rygorystyczna równość płci, swobodny dobor partnerów seksualnych (w tym związki homoseksualne), prawo do przerywania ciąży, eutanazja. Dodalibyśmy do nich - pro domo sua - jedynie słuszną interpretację przeszłości i teraźniejszości.

Tak naprawdę political correctness jest formą lewicowej cenzury (i autocenzury), gdyż walczy z naturalnym systemem wartości, osmieśla „niewłaściwie, reakcyjne” postawy, każe traktować własną wizję świata jako idealnie podlegającą rewizji. Mamy więc do czynienia z ideologiczno-wychowawczym totalitaryzmem, który każde wystąpienie krytyczne traktuje jako zamach na wolność, prawdę itd.

Przy czym oponent nie jest traktowany jako budzący szacunek przeciwnik; przeciwnie, jest człowiekiem godnym pogardy, zasługującym na potępienie i już to towarzyska, już to penitencyjna izolacja. Albo na szpital psychiatryczny.

Tak, wystąpienie przeciwko politycznej poprawności może być niebezpieczne. Przekonują się o tym chociażby historycy-rewizjonisci „holocaustu”, którzy nie negując martyrologii Żydów podczas wojny, zaniżają liczbę wymordowanych i kwestionują istnienie komór gazowych (w największym skrócie: w obozach koncentracyjnych ludzie umierali głównie w wyniku chorób - skutków niedożywienia, ciężkiej pracy itd. Komory gazowe, używanie Cyklonu B do masowego trucia ludzi było z wielu względów - technicznych, ekonomicznych - niemożliwe). Zaczyna się zwykle od potępienia artykułów, kłopotów w pracy (nagle zwolnienia pracowników naukowych z uniwersytetów), a kończy zamachami bombowymi i interwencją sądową (nie skierowaną oczywiście przeciwko postępowym bomberom).

Właściwie - i do tego sprowadza się rygorystyczny political correctness - należy uważać co się mówi i jak się postępuje.

W Stanach Zjednoczonych na przykład nie można Murzyna nazwać Murzynem. To Afroamerykanin. Popularny pedał jest osobnikiem kochającym inaczej, mającym prawo do założenia rodziny i wychowania dzieci (na nowych pedałach - jak sadze). Zbyt długie przyglądanie się ładnej dziewczynie to oczywiście wstęp do molestowania seksualnego; nadreprezentatywność mężczyzn na kierowniczych stanowiskach jest rodzajem samczego szowinizmu (istnieje tutaj jedynie słuszne określenie: „meska, szowinistyczna świnka”).

Formy walki z niepoprawnymi mogą być również bardziej wysublimowane, bez angażowania autorytetu sądu.

Jezeli np. ukazują się książki niewygodne, której tezy są trudne, czy niemożliwe do obalenia - stosuje się metodę totalnego milczenia, w prasie, radiu, telewizji. Dzieła nie ma. Koniec i kropka.

Można także faktami manipulować poprzez „przesuwanie środka ciężkości”. Dam bliski, polski przykład.

Oto grupa Cyganów (Romów - patrz: polityczna poprawność) gwałci nieletnią Polkę. Jako, że mniejszości są u nas tradycyjnie prześladowane, a Polacy to naród szowinistów i rasistów, nie należy takiej informacji podać w głównym wydaniu „Wiadomości”, a co najwyżej polgebkiem o godzinie 23.00. gdy normalni ludzie już śpią.

Odwrocmy sytuację. Polacy poturbowali Cygana, bo ten, nie posiadając prawa jazdy, potracił kobietę. Dochodzi do pyskówek i przepychanek między przedstawicielami obu społeczności. Efekt? O godzinie 19.30 Polska dowiaduje się, że w miejscowości X doszło do antycygańskiego pogromu.

Albo: premier Izraela uprzejmie był stwierdzić, że Polacy wysysają antysemityzm z mlekiem matki. Komentarz: „każdemu się zdarza, był zmęczony, właściwie ma rację, ale mógł to podać w kulturalnej formie”.

Dla równowagi: Polak zniwelował żydowskie macewy na cmentarzu. Zrobił to, bo miał taką idiotyczną, pijacką fantazję, a akurat nie było w pobliżu innych obiektów (np. grobów katolickich). Reakcja? Spikerka telewizyjna drzącym głosem mówi o wzroście antysemityzmu w Polsce, burza się Amerykańscy Żydzi, premier Rzeczypospolitej, że

wzrokiem wbitym w ziemię, jak uczeń, gorąco przeprosza w imieniu wszystkich Polaków. Et cetera, et cetera.

Czasem zastanawiam się, czy z tym szalenstwem można jeszcze walczyć. Zapewne tak. Zniechęconym natomiast dam dobrą radę: bądźcie wierni swoim życiowym partnerom - jak pedał; bądźcie miłośnikami wobec waszych dziadków - jak zwolennik eutanazji; kochajcie swoje dzieci - jak aborcjonistka; bądźcie tolerancyjni wobec innych - jak Talmud.

POLECATS*

Uważam, że zdecydowana większość polskich (krajowych) historyków zajmujących się najnowszymi dziejami Polski i świata, przez dziesiątki lat wlewała w czytelnicze dusze zatruty jad propagandy i nieprawdy.

Nie byli to „Wallenrodowie” usiłujący przekazać podstawowy zreb informacji, a tylko przy okazji muszacy „oddac co cesarskie - cesarzowi”, lecz zwykli koniunkturalisci, geszefciarze, pulpeciarze, wieksi i mniejsi klamcy odpowiedzialni na równi z komunistycznymi dygnitarzami za wykosławienie polskiej świadomości historycznej: żeby nie powiedzieć - prawie całkowitą ztratę.

Rok 1989 powinien być dla nich ostatnim rokiem działalności na niwie historycznej; dotyczy to także tych, którzy kilka lat wcześniej w tzw. drugim obiegu starali się zatrzec poprzednią działalność. Powinni zamilknąć, zapasć się ze wstydu pod ziemię, wyparować z uniwersytetów, a najlepiej sadzić ryż w Korei Północnej. Albo przejść w procesji „auto da fe”, obowiązkowo z czapami hanby na głowach.

Nic takiego nie nastąpiło, no i nie nastąpi.

Te prostytutki obwieszane tytułami naukowymi przez mocodawnych sutenerów, utworzyły własny lunapark upstrzony w nowe piórka. „Brazowo - nosi” (tak określa się ludzi podtykających ten wrażliwy organ pod wiadomą część ciała możliwych tego świata) - bez najmniejszego oporu, bez chrząknięcia, czy tylko bąknięcia słowa: przepraszam, podążyli ku światłu prawdy.

Nagle komunisci - koniunkturalisci (z mocnym akcentem na ostatnie słowo) przedzierzgnęli się w ideowych pilsudczyków (zawsze powtarzałem, że od „Dziadka” do komuny tylko krok), tropiciele wiadomego rewanżyzmu stali się autorami książek o pojednaniu polsko-niemieckim, a wszyscy, jak scierwne sepy, rzucili się na polski antysemityzm. Na tym zawsze można zarobić, a przy okazji ukryć własne grzechy.

Ludzie ci naprawdę niczym szczególnym nie różnią się od W. T. Kowalskich, czy Walichnowskich, którym zresztą nikt, za życia i pośmiertnie nie odebrał tytułów. Przecież to takie nieeleganckie.

To chwasty zapatrzone we własne kariery, stado rozgadanych kelnerów, gotowych jednak na każde skinienie nowego pana, osobnicy bez czci, wiary, moralności. Bez Boga i Ojczyzny. Dobrzy Europejczycy.

Polecac (ang. Tchorz). Euroazjatycki ssak drapieżny. Kiedy się podnieca - śmierdzi. Uwaga!
Lowny

KILKANASCIE WSKAZÓWEK DLA MŁODEGO HISTORYKA - NAUKOWCA

1. Omijaj „Wstęp do badań historycznych”. Studenci uznają Ciebie za nudziarza. Zresztą wszystko co napisano w tej materii można przeczytać w 1-2 podręcznikach.
2. Nie rob kariery politycznej. Historycy to najgorsi politycy. Może dlatego, że zbyt często utożsamiają się z opisywanymi przez siebie nieudacznikami, hochsztaplerami i dewiantami.
3. Nigdy nie pisz obiektywnie. To nic nie znaczy, a do tego jest przerazliwie nudne. Twoja pasja i energia włożona w prace historyczną nazywamy subiektywizmem.
4. Nie żen się z kobietą - historykiem, bo wkrótce zwariujesz. No chyba, że twoja lepsza połowa nie tylko zawodowo zajmuje się życiem erotycznym starożytnych Indii. Ale to mało prawdopodobne.
5. Podobnie rzecz się ma ze studentkami historii. Te obrotniejsze i tak nie zwraca na Ciebie uwagi. Jesteś przecież wiecznym golcem finansowym, a Twoja władza nad nim jest iluzoryczna (i tak skończy studia - taka jest zasada). Ale jeżeli chcesz mieć w domu przyszłą panią od nauczania początkowego - proszę bardzo. Tylko nie pobijcie się później o pieniądze.
6. Nie bądź nadmiernie surowy dla studentów. Każdy historyk pastwiacy się nad zakami, udziwniający pytania egzaminacyjne, piętarczy przeszkody, nie cieszy się szacunkiem. Przeciwnie, uważany jest za kretyna, który zły humor, złe przespana noc, czy domowa kłótnie przenosi na teren uczelni. Kobiety - historycy mają z tym największy kłopot. Dlatego też nie są lubiane, a rzadko cenione przez studentów.
7. Bądź solidnym prawnikiem. Poglądy lewicowe są dobre dla gówniarzy i emerytów.
8. Wykład lub ćwiczenia prowadź według recepty Alfreda Hitchcocka: najpierw trzesienie ziemi - potem napięcie rośnie. Na przykład: ze znużona mina, minutę po czasie, gdy wszyscy siedzą w ławkach, wchodzisz do sali. I nagle, uderzając kciukiem o poręcz krzesła, strzelasz z armaty: „Szymon Wiesenthal to fałszywy tropiciel nazistów”. I tak dalej, i tak dalej.
9. Nie ubieraj się w modne, drogie garnitury. Młodego historyka (wkrótce przekonasz się, że i starego) nie stać na utratę całego stypendium (uczelnianej pensji), a przy tym zawsze zdradza Cię lekkosława buty Made in Radoskor i źle dobrany krawat.
10. Uważaj, w archiwach i bibliotekach. Spadające z regałów ciężkie, zakurzone od lat nie ruszane tomiska - zabijają. Inna sprawa, jeżeli chcesz umrzeć śmiercią historyka.
11. Utrzymuj dobre stosunki z sekretarkami. W końcu obcuje się z wicedyrektorkami poszczególnych instytutów.
12. Nie słiz się do kwesterek i pan w kasach. I tak nic nie dostaniesz.

13. Nigdy nie mów źle o swojej uczelni. Wprawdzie prawie Ci nic nie płaci, niczego nie załatwi, ale nie uchodzi. Klnij sobie pod nosem.

14. Nie bierz łapówek. To nieetyczne. Od tego są mądrzejsi. W razie czego - tylko ty wpadniesz.

15. Jeżeli jesteś utalentowany - do wszystkiego dojdiesz z czasem. Jeżeli nie - jeszcze szybciej.

16. Walcz z historykami - lizusami - karierowiczami. Przynajmniej będziesz miał satysfakcję, że poległeś w walce z przeważającymi siłami wroga.

Podał, za pozwoleniem
dr Dariusza Ratajczaka
Dnia 17 kwietnia 1999

Piotr i Jasiak z Toronto